Stanisław Witkiewicz

Szewcy

Stanisław Witkiewicz

SZEWCY

Poświęcone Stefanowi Szumanowi

OSOBY

Sajetan Tempe — majster szewski; rzadka bródka „dzika" i wąsy. Blondyn siwiejący. Ubrany w normalny strój szewski z fartuchem. Około 60 lat.

Czeladnicy: I (Józek) i II (Jędrek). Bardzo przystojne, morowe, młode szewskie chłopy. Ubrane w normalne szewskie stroje z fartuchami. Lat około 20.

Księżna Irina Wsiewołodowna Zbereźnicka-Podberezka — bardzo piękna szatynka, niezwykle miła i ponętna. Lat 27–28.

Prokurator Robert Scurvy — twarz szeroka, zrobiona jakby z czerwonego salcesonu, w którym tkwią inkrustowane, błękitne jak guziki od majtek oczy. Szczęki szerokie — pogryzłyby na proszek (zdawałoby się) kawałek granitu. Strój żakietowy, melonik. Laska ze złotą gałką (*très démodé*)[1]. Biały halsztuk[2] zawinięty i ogromna w nim perła.

Lokaj Księżnej, Fierdusieńko — zrobiony trochę na manekina. Strój czerwony, ze złotym szamerowaniem[3]. Czerwona króciutka pelerynka. Kapelusz stosowany.

Hiper-Robociarz — ubrany w bluzę i kaszkiet[4]. Ogolony, szerokie szczęki. W ręku kolosalny, miedziany termos.

Dwóch dygnitarzy — towarzysz Abramowski i towarzysz X. Wspaniale ubrani cywile, wysokiej inteligencji i w ogóle pierwszej marki. X ogolony — Abramowski z brodą i wąsami.

Józef Tempe — syn Sajetana, lat 20.

Chłopi — stary chłop, młody chłop i dziwka. Stroje krakowskie.

Strażniczka — młoda ładna dziewczynka. Fartuszek na mundurku.

Chochoł — z Wesela Wyspiańskiego.

Strażnik — normalny byczy chłopak, mundur zielony.

Gnębon Puczymorda i Dziarscy chłopcy

AKT PIERWSZY

Scena przedstawia warsztat szewski (może być dowolnie fantastycznie urządzony) na niewielkiej przestrzeni półkolistej. Na lewo trójkąt zapełniony kotarą wiśniowego koloru. W środku trójkąt ściany szarej z okrągławym okienkiem. Na prawo pień wyschłego pokręconego drzewa — między nim a ścianą trójkąt nieba. Dalej na prawo daleki krajobraz z miasteczkami na płaszczyźnie. Warsztat umieszczony jest wysoko ponad doliną w głębi, jakby na górach wysokich był postawiony. Sajetan w środku, dwaj Czeladnicy po bokach, I na lewo, II na prawo, pracują przy warsztacie. Z daleka dochodzi huk samochodów czy czort wie czego zresztą i ryki syren fabrycznych.

Sajetan (*kując młotem jakieś buty*). Nie będziemy gadać niepotrzebnych rzeczy. Hej! Hej! Kuj podeszwy! Kuj podeszwy! Skręcaj twardą skórę, łam sobie palce! A, do diabła — nie będziemy gadać niepotrzebnych rzeczy! Książęce buciki! Tylko ja, wieczny tułacz, tym się tułający, że do miejsca zawsze przykuty. Hej! Kuj podeszwy dla tych ścierw! Nie będziemy gadać niepotrzebnych rzeczy — nie!

I Czeladnik (*przerywa mu*). Czy wy byście mieli odwagę zabić ją?

II Czeladnik przestaje kuć podeszwy i pilnie nasłuchuje.

Sajetan. Dawniej tak — teraz nie! Hej! (*Wywija młotem.*)

II Czeladnik. Nie mówcie tak ciągle „hej”, bo mnie to drażni.

Sajetan. Mnie gorzej drażni, że buty dla nich robię. Ja, który mógłbym być prezydentem, królem tłumu — choć chwilę, choć jedną małą chwilkę. Lampiony, girlandy i słowa wokół lampionów, głów, a ja, nędzny, brudny wszarz ze słońcem w piersi, błyszczącym jak tarcza złota Heliodora, jak sto Aldebaranów[5] i Weg[6] — ja nie umiałem mówić. Hej! (*Wywija młotem*).

I Czeladnik. Czemu nie umiecie?

Sajetan. Nie dali. Hej! Bali się.

II Czeladnik. Jeszcze raz powiecie „hej”, a pójdem sobie od roboty precz. Nie macie pojęcia, jak mnie to drażni. A propos: a kto to Heliodor?

Sajetan. Jakasi fikcyjna będzie postać — a może mój wymysł — już nie wiem nic. I tak bez końca. Jedna chwila... Nie wierzę już w żadną rewolucję. Samo słowo wstrętne jest jak karaluch abo i prusak czy wesz. Bo wszystko obraca się przeciw nam. Nawóz jesteśmy, jako ci dawni królowie i inteligencja w stosunku do totemowego klanu — nawóz!

II Czeladnik. Dobrze, żeście nie rzekli „hej” — a to ubiłbym was. Nawóz bo nawóz, ale oni dobrze żyli. Ichnie dziwki nie śmierdziały tak jak nasze, sturba ich suka malowana, dziamdzia ich szać zaprzała! O Jezu!

Sajetan. Już wszystko tak zbrzydło na tym świecie, że więcej o niczym gadać nie warto. Kona ona ludzkość pod gniotem cielska gnijącego,

złośliwego nowotwora kapitału, na którym, nikiej putryfakcyjne[7] owe bąble, faszystowskie rządy powstają i pękają, puszczając smrodliwe gazy zagnitej w sobie, w sosie własnym, bezosobowej ciżby ludzkiej. Już nic gadać nie trzeba. Wszystko je wygadane do cna. Czekać trzeba, aż się zrobi i robić, ile kto może. Czy nie jesteśmy ludzie? Może ludzie to tylko oni — a my tylko bydlęce ścierwa, z takimi wicie, Panie Święty, epifenomenami[8], by się jeszcze gorzej męczyć i na ich uciechę skowytać. Hej! Hej! (*wali młotem w co popadło*) A oni myślą tak na pewno, brzuchacze zacygarzone, ociekające takim śliskim koktejlem z ichniej rozkoszy i naszej smrodliwej, beznadziejnej w swej męce. Hej! Hej!

II Czeladnik. Takeście to mądrze rzekli, że nawet to wstrętne „hej” mnie nie raziło. Przebaczyłem wam. Ale więcej tego nie róbcie — niech was ręka Boska broni.

Sajetan (*nie zwracając na to uwagi*). A to jest najgorsze, że praca nigdy nie ustanie, bo się nie cofnie ta, psiamać, machina społeczna. Ta będzie tylko pociecha, że wszyscy jako jeden wstrętny mąż, z zapamiętaniem nieprzytomnym orać będą, że nie będzie nawet takich próżniaków…

I Czeladnik (*domyślnie*). Tych na naczelnych stanowiskach kontrolnych?

Sajetan. Toś ty to sobie też myślał, brachu? Hej! Ale jak tu porównać dwa mózgi? Nie porównać — choć i to trudno — ale zrównać. Otóż pracować będą tak samo — chodzi o tę nieprzyjemność. Teraz jeszcze za dużo frajdy mają te dranie, bo jest twórczość — hej! A i ja też mogę nowy fason wymyślić, chociaż to już nie to — nie. Nie to! nie to! (*Zanosi się płaczem*).

I Czeladnik. Biedny majster! Chce mu się, aby robota była równocześnie mechaniczna i żeby duchem tę mechanikę wyosobliwiać, jak te dawne muzykanty i malarze swoje wydzieliny, w unikaty osobowego przejawu. Czy ja mówię bez sensu?

II Czeladnik. Nie — tylko obco. Ja to bardziej swojsko wypowiem. A może nie warto? (*pauza; nikt go nie zachęca; mówi jednak*) Przykra pauza. Nikt mnie nie zachęca. Gadać jednak będę, bo mi się tak chce, że wytrzymać nie zdolen jezdem, wicie. Przyjdzie dziś pewno tu Księżna ze swoim prokuratorskim psem i gadać będzie też i wiercić nama otworki w metafizycznych pępkach, jak to uni, ci pysni panowie nazywają w sobie te cukierki, co u nas wrzodami swędzącymi są i zostaną. To się wyraża w sprzecznościach, których nijak osiągnąć nie można — to są te rzeczy, ta sakra ich suka, ślachcickie odpadki, co oni nazywają swymi metafizycznymi przeżyciami. Łechcą sobie nimi spasione brzuchy, a każdy taki łecht nasyconego bydlaka to nasz ból w kiszkach. Chciałem mówić, wicie, i powiem: żyć i umrzeć, zacisnąć się w główkę od szpilki i rozprzestrzenić się na cały świat; puszyć się i tarzać w prochu… (*nagła pustka we łbie nie pozwala mu mówić dalej*) Nic więcej nie powiem, bo mi się nagle pusto we łbie zrobiło, jak w stodole, jak w gumnie.

I Czeladnik. Tak — nie bardzoście się wysilili na ten spicz przez s, p, i „cze”. Ja, wicie, Jędrek, znam Kretschmera[9] z wykładów tej tam intelektualnej lafiryndy Zahorskiej[10], w naszej Wolnej Wszechnicy Robotniczej[11]. Oj, wolna ona, wolna — raczej rozwolniona jest ta nasza Wszechnica. Sami się częstują twardą wiedzą, a na nas to tę biegunkę umysłową puszczają, aby nas jeszcze gorzej zatumanić, niż to chciały wszelkie religianty na usługach feudałów i ciężkiego się przemysłu wygłupiające. A wam mówię, Jędrek, że to schizoidalna psychologia. Nie wszyscy są tacy. To rasa ginąca. Coraz więcej jest na tym świecie pykników. Ma se radio, ma se stylo, ma se kino, ma se daktylo, ma se brzucho i nieśmierdzące, niecieknące ucho, ma se syćko jak się patrzy — czego mu trza? A sam w sobie jest ścierwo podłe, guano pogodne, przebrzydłe. To je pyknik, wis? A taki niezadowolony ze siebie to ino mąt na świecie czyni, żeby siebie przy tym przed sobą wywyższyć i siebie sobie pokazać lepszym niż naprawdę jest — nie być, ino pokazać, i nie lepszym, ino takim fajniejszym, wyhyrniejszym. Tak ci to wyhyrma przed sobą (*po pauzie*). A ja to sam nie wiem, jaki jestem: pyknik czy schizoid?

Sajetan (*twardo; wali w kopyto, czy coś takiego*). Hej! Hej! Gadacie, a życie ucieka. Ja bym chciał ich dziwki deflorować[12], dewergondować[13], nimi się delektować, jus primae noctis[14] nad nimi sprawować, w ich pierzynach spać, ichnie żarcie żreć aż do twardego rzygu, a potem ichnim duchem od zaświatów się zachłysnąć — ale nie podrabiać to, co oni, tylko lepsze stworzyć: i nowe religie nawet — na pośmiewisko ino, i nowe obrazy, i symfonie, i poematy, i maszyny, i nową całkiem zaistną, śliczną jak moja Hania... (*przerywa*) E — nie będę wymawiał — świętokradztwo w ichnim języku to się zwie. (*gwałtownie*) A co ja mam? A co ja z tego mam??

II Czeladnik. Cichojcie!...

Sajetan. Nie będę cichoł — te, frajer! Hej! Hej! Hej! Hej! Hej! (*wali młotem*) Syn przystał do tych tak zwanych wstrętnie „Dziarskich Chłopców”. Niby organizacja takich, co chcieliby wszystko od razu; oni chcą zużyć inteligencję, chcą nikogo nie mordować, chyba że już nie można inaczej. Hej!

Z prawa wchodzi prokurator Scurvy. Cylinder. Parasol. Strój żakietowy. W rękach, urękawicznionych na jasno, kwiaty żółte.

Scurvy. Jakże byście to chcieli: nie mordować, „chyba że już nie można”. Nigdy nie można, zawsze trzeba — tak to jest. Hehe.

II Czeladnik. A ten „hehe” znowu. Jeden „hej”, a drugi „hehe” — wytrzymać nie można, (*robi z wściekłością olbrzymi, nienaturalnie wielki but oficerski, który wyciągnął z kąta zarupiecionego na lewo. Po chwili — Scurvy patrzy nań z wyczekującym uśmieszkiem — krzyczy z rozpaczą*) Ja nie chcę pracować za taką flotę! Ja nie będę! Puśćcie mnie!

Scurvy (*zimno; uśmiech znikł jak zdmuchnięty*). Hehe. Droga wolna.

Możecie iść i zdechnąć sobie pod płotem. Wyzwolenie jest tylko przez pracę.

Sajetan. Ale ty pracujesz siedząc w fotelu, paląc dobre „papirusy”, nażarty czym chcesz. „Pracownik umysłowy”. Kanalia! A i zmysłowy też — hej! (*Śmieje się dziko*).

Scurvy. Czy myślicie, Sajetanie, że kiedyś będzie inaczej? Czy wy naprawdę myślicie, że wszyscy będą mogli być zmechanizowani i ustandaryzowani w pracy ręcznej? Nie — zawsze będą dyrektorzy i urzędnicy wyżsi, którzy będą musieli nawet co innego jeść niż majstrzy w fabrykach, bo praca umysłowa wymaga innych składników mózgu — mózgu i jedzenia.

Czeladnik II płacze.

Sajetan. Hej — ale będą jeść odpowiednie preparaty bez smaku, a nie langusty i wąparsje jak ty, prokuratorze sądu najwyższego dla społecznych nieporozumień kapitału z pracą. Ty elityczny rzezańcze! W naszych czasach, tych tam faszystowskich syndykalistów w rodzaju mego syna, ty możesz jeszcze żyć jak soliter w zepsutym bańdziochu rozkładającej się socjety. Ale jak prawdziwi syndykaliści zwalą państwo w ogóle, takich jak ty nie będzie trzeba. Będzie towarzysz-dyrektor prawdziwy, okarmiony obrzydliwymi pigułkami... (*Płacze*).

Scurvy. Macie po prostu kompleks langusty — wy i wam podobni. Nie, Sajetanie, tego nie będzie nigdy. Nie może się tak zdegenerować nasz gatunek, żeby narządy trawienia skurczyły się i przystosowały do paru pigułek. Wtedy proporcjonalnie zdegenerowałoby się wszystko tak, że w ogóle żadnych problemów by nie było: byłaby kupa dogasających pierwotniaków, a nie społeczeństwo, cierpiące nieuleczalnie na zależność swych części jednych od drugich.

II Czeladnik. Ja panu coś powiem: dobra byłaby każda prawda, byle nie życie osobiste. Jak pan, panie prokuratorze, odwali swoją pracę, to może pan myśleć o abstrakcjach w uniezależnieniu od swego żołądka i innych jelitalii...

Scurvy. No — to jest przesada...

II Czeladnik. Ale nie gruba, (*z rozpaczą*) Mnie się chce ładnych kobiet i dużo piwa. A mogę wypić tylko dwa duże i ciągle z tą Kaśką, ciągle z tą Kaśką — a niech to cholera!...

Scurvy (*z niesmakiem*). Dość...

I Czeladnik. (*podchodząc do niego z zaciśniętymi pięściami, z ironią*). Dość! Panu prokuratorowi najwyższego sądu kwaśno w nosie się robi na myśl samą, że on, Jędrek, musi ciągle z tą jedną Kaśką. A sam to on je teozof[15]. Bardzo pikne ma idejki. Ale dziwek ma, ile chce. Ale do tego chciałby tylko z jedną, a z tą się nie da — hi, hi — wszędzie są te same problemy, w stosuneczkach równolegle przesuniętych albo kolineacyjnie

podobnych — hi, hi!

Scurvy (*zimno*). Milcz, sflądrysynie, milcz, skurczyflaku.

I Czeladnik. Cha, cha! Hej! Trafiłem, jak mi Bóg miły! Ona tu zaraz będzie, ta sadystka z twarzą aniołka, ta moralna brewilierka — niby markiza de Brinvillieres. Dla niej męki pana prokuratora, jak musi z innymi dziwkami myśląc o jej „niedoszczygłej” somie — tak, soma[16] to nic złego — otóż te męki są tym samym, co zaglądanie do warsztatów, w których pocimy się i zdychamy od pracowitej śmierdziączki my, i wglądanie do więzień, gdzie gniją w płciowej, raczej zapłciowej rozpaczy najtęższe samce w rozpadzie duchowym i cielesnym...

Scurvy. On oszalał, ale to jego szaleństwo z niemożności wytrzymania po prostu działa na mnie jak szalej. Ja wariuję! (*pada na szewski zydel*) Ja ją tak dobrze rozumiem, nawet w jej najgorszych kobiecych świństewkach duchowych... i tak by było dobrze... Cóż, kiedy ona woli, aby nic — och, och! Moja męka nasyca ją więcej, niżby nasycić zdołał najszaleńszy mój hipergwałt jakiś.

Sajetan. O — widzicie — rozłożył się na elementy proste — nawet nie śmierdzi już. Porób pan buty — to panu dobrze zrobi — lepiej niż widok skazańców o świcie.

Scurvy (*łkając*). I to wiecie nawet, Sajetanie?! Sajetanie! Jakież to straszne...

Wchodzi Księżna, ubrana w szary kostium, ze wspaniałym żółtym bukietem. Daje z niego kwiaty wszystkim po kolei, nie wyłączając Scurvy'ego, który nie wstając z zydla przyjmuje je z godnością i tajoną obrazą (*jak to uwidocznić na scenie? a?*). *Bukiet wsadza potem w ogromny, tęczowy flakon, który niesie za nią wygalowany lokaj Fierdusieńko. Fierdusieńko również trzyma na smyczy foksa, Terusia.*

Księżna. Dzień dobry, Sajetanie, dzień dobry. Jak się macie, jak się macie? Dzień dobry, panowie Czeladnicy. Ho, ho — robota wre, jak widzę, ochoczo, jak to dawniej pisali przodkowie duchowi naszych pisarzy z osiemnastego wieku. Ochoczo — śliczne słowo. Czy pan by potrafił się ochoczo kochać, panie prokuratorze? (*Teruś wącha Scurvy'ego*). Teruś, fuj!

Scurvy (*jęcząc na zydelku*). Ja chcę zrobić parę butów — choć jedną! Wtedy będę godnym pani, dopiero wtedy. Wtedy potrafię zrobić, co zechcę, z kogo zechcę. Nawet z pani, dobrą, domową, kochającą kobietę — potworze najukochańszy, jedyna!.. (*Zatyka go*).

Sajetan (*z zabobonnym podziwem*). Cichojcie! Zatkało go do cna — hej!

Księżna. Bezsilność pana, doktorze Scurvy, podnieca mnie do zupełnego wariactwa. Chciałabym, aby pan patrzył na to, kiedy ja — wie pan? — ten tego — tylko nie powiem z kim — jest taki cudny porucznik błękitnych huzarów życia, w dodatku ktoś z mojej klasy czy sfery, jest też pewien artysta... Niepewność pańska jest dla mnie rezerwuarem

najwyuzdańszej, płciowej, samiczkowatej, bebechowato-owadziej rozkoszy — chciałabym jak samice modliszki, które ku końcowi zjadają od głowy swoich partnerów, którzy mimo to nie przestają tego — wie pan, hehe!

II Czeladnik (*wymawia okropnie słowa francuskie jak pani Mąsiorkowa; trzyma olbrzymi but oficerski*). Kel ekspresją grotesk[17]!

Czuć podniecenie niesamowite u szewców.

Sajetan. Daj mu ten oficjerski, kirasjerski[18], psia jego flądra, but. Niech go skończy za ciebie. Jemu takie buty są potrzebne — jemu i tym panom, dla których on wsadza bohaterów przyszłej ludzkości do pałaców swoich, pałaców jego ducha. Hołotę trzymać za mordę — oto ich najszczytniejsze hasło. Hej! Hej! Hej!

I Czeladnik. A on, wicie, jeszcze jedno, wicie, ma cierpienie, towarzyszu mistrzu: on się kocha w naszym tym perwersyjnym aniołku tylko temu, co ona jest księżną, a on jest zwykły burżuj z trzeciego stanu, a nie hrabia. Takich to hrabiowie bezkarnie po pyskach prali jeszcze dwieście lat wstecz. To on cierpi i sam się pławi w swoim cierpieniu jeszcze bardziej — bez tego to go, kociego syna, nie cieszy, jak pisał sam Boy[19].

Scurvy (*zrywając się; jednocześnie II Czeladnik wciska mu w objęcia olbrzymi but oficerski; Scurvy przyciska go do piersi i ryczy z emfazą*). To jedno nie — tego jednego mi nie zabierajcie: jestem prawdziwym, liberalnym — w ekonomicznym znaczeniu — demokratą.

Sajetan. Trafiłeś go. Tak — on żałuje, że nie liznął tego najparszywszego istnienia, jakie być może, istnienia w złudzie fikcyjnej wartości hrabskiego bytu w ostatniej połowie dwudziestego wieku. On by nie wiem co dał, aby móc być cierpiącym hrabią i ubrdać się na to całe nasze istnienie taką, wicie, subtelnością wyższości, co to, psia jego suka — a nie wiem już co. Jemu nie wystarcza, że on będzie but robił jako doktor praw i prokurator najwyższy nieomalże sądu ostatecznego — a oto (*wskazuje Księżnę*) ten aniołek zatrąbi mu na swych wewnętrznych organkach.

Księżna (*do foksa, którego uspokaja Fierdusieńko*). Teruś, fuj! I wy „fuj”, Sajetanie! Taż to tak nie można — nie „lza”, jak mówili słowianofilscy dowcipnisie słów nijakich. To niesmaczne i koniec. Zawsze mieliście tyle taktu, a dziś?...

Sajetan. Bede niesmaczny — bede! Dość smaku. Wywątrobię wszystko na smród i brud ostateczny. Niech śmierdzi wszystko, niech się na śmierć ten świat zaśmierdzi i niech się het do cna wyśmierdzi, to może potem zapachnie wreszcie; bo w nim takim, jakim jest, wytrzymać wprost nie można. Nie czują, biedni ludziska, że demokratyczne kłamstwo śmierdzi, a smród klozetu to czują, psie pary, hej! Otóż to je prawda: on by dał wszystko, aby choć jeden moment hrabią prawdziwym być. Ale nie może,

biedota nieszczęsna, hej.

Scurvy. Litości! Przyznaję się. Dziś rano wieszali przy mnie przeze mnie skazanego hrabiego Kokosińskiego — Janusza, nie Edwarda, mordercę ulicznicy Ryfki Szczygiełes, defraudanta państwowego w Pe-Zet-Pe, biuro numer 18. Przyznaję się: ja zazdrościłem tego, że go wieszają, jego, prawdziwego arystokratę! Oczywiście, gdyby przyszło co do czego, powiesić bym się za dziewięć pałek nie dał — ale wtedy: zazdrościłem! On mówił, ten hrabia, a rzygał równocześnie ze strachu jak mops glistowaty: „Patrzcie, jak ostatni raz degobijuje[20] prawdziwy hrabia.” Och — tak móc powiedzieć raz i umrzeć.

Księżna (*do foksa*). Teruś, fuj! Ja się rozpływam wprost z nieludzkiej rozkoszy! (*śpiewa — pierwsza śpiewka*).

Ja jestem z domu „von und zu”.
A to tak imponuje mu,
Pędzę jak antylopa gnu,
Jestem to tam, to tam — to tu!

To moja pierwsza śpiewka dzisiaj rano. Tornado Bajbel-Burg jest moje panieńskie nazwisko, panie Robercie. Nie ma pan pojęcia, co to za rozkosz jest tak się nazywać.

Scurvy (*mdlejąc*). Ach — ona była kiedyś panną! Nigdy mi to na myśl nie przyszło. Ona była malutką dziewczyneczką — córeczką — bidulką! Ta niesmaczna w wysokim stopniu piosenka jej rozczuliła mnie do łez. Na mnie więcej działają takie oto rzeczy niż rzeczywiste cierpienie. Mała czyjaś gafka wstydliwa rozczula mnie do obłędu, a na kiszki na wierzchu mogę patrzeć bez drgnienia. Złotko moje jedyne! Jakże bezmiernie cię kocham. Straszne jest, jak demoniczne pożądanie zejdzie się w jednym punkcie z największą tkliwością. Wtedy samiec jest gotów — gotiu.

Wywala się z zydelka z butem w objęciach. Szewcy go podtrzymują, nie wypuszczając z rąk żółtych bukietów, które dostali od Księżnej. Łypią na siebie oczami porozumiewawczo, chłonąc kubłami wprost niezdrową rzeczywistość.

II Czeladnik. (*wąchając bukiet; Scurvy'ego złożyli na zydlu w bardzo niewygodnej dlań pozie — głową na dół*). Cierpiętnik! Chłonę rzeczywistość brudnym kubłem od pomyj. Niezdrowa bo jest jak *Campagna Romana*. Pomyje mrożone piję przez rurkę jak mazagran[21]. Potworne cierpienie! Flaki mam takie odparzone, jakby mi kto lewatywę ze stężonego kwasu solnego dał.

Księżna (*retorycznie*). To przesada.

II Czeladnik (*z uporem*). Nie. Pomyślcie tylko: czemuż jestem tym, a nie innym? To nieprawda, że ja nie mogłem o innym stworzeniu powiedzieć: „ja”. Mogłem być chociażby tym padłem[22] (*wskazuje na*

Scurvy'ego), a jestem jakimś lodowatym nadwszarzem czy czymś podobnym — mówię w przybliżeniu tylko — na przełęczy najdzikszego z nonsensów: pomieszania osobowości z ciałami — ja sam nie wiem, wicie... (*Milknie zawstydzony*).

Sajetan. Nie wstydaj się tak, Jędrek! Nieprawda: materializm biologiczny autora tej sztuki mówi inaczej: jest to synteza poprawionego psychologizmu Corneliusa[23] i poprawionej monadologii Leibniza[24]. Przez miliardy lat łączyły się i różniczkowały komórki, aby takie ohydne ścierwo, jak ja, mogło o sobie powiedzieć właśnie: „ja"! Ta metafizyczna książęca prostytuta — po co zdrabniać? — psiakrew, psia ją mać, tę sukę umitrzoną...

Księżna (*z wymówką*). Sajetanie...

Sajetan (*gorączkowo*). Irina Wsiewołodowna — wam Chwistek[25] zabronił być w polskiej literaturze. I dlatego musi się pani błąkać po sztukach bez sensu, stojących poza literaturą, sztukach, których nikt grać nie będzie. On nie znosi rosyjskich księżnych, nie cierpi, biedaczek. On chciałby tylko szwaczki, mundantki — czy ja wiem? Dla mnie to już za wiele! Dla mnie, dla nas są śmierdzące dziwki i jeszcze bardziej śmierdzące rynsztokowe, podwórzowe matrony: nasze babki, ciotki, wujenki... hej!

II Czeladnik. Mistrzu, to już jest samobiczowanie się klasy. Dobrze, żeście matek tu nie wymienili, a tobym wam dał w pysk.

Scurvy (*z dzikim, obłąkańczym uśmiechem*). Klasy klas! Cha, cha! Logistyka w walce klas. Walka klasy klas samej ze sobą. Sam pogardzam sobą za ten nędzny „witz"[26], a na lepszy mnie nie stać.

Księżna (*zimno*). To po co w ogóle robić „witze"?

Scurvy. Zły przykład naszych dowcipnisiów w literaturze: dowcip im dawno zjełczał, a „witze" robią, kanalie, wciąż. Ha — dosyć: kimś trzeba być w tej matni: trzeba stanąć albo tu, albo tam. Ze strachu przed odpowiedzialnością — mego strachu — gotów mi się wymknąć najprzedniejszy kąsek przeznaczonego mi życia. Jako hrabia mógłbym być obserwatorem tylko.

Księżna. To tylko w Polsce jest tak ostro postawiony problem hrabiego jako taki. Od tej chwili nie wolno o tym gadać — szlus[27], chłopaki cudne moje! (*Całuje się z Czeladnikami*).

Scurvy. Jak można tak mówić: „chłopaki cudne" — brrr... (*otrząsa się ze wstrętu i martwieje*) Taż to, panie, szczyt niesmaczności i moweżanru[28]! Otrząsam się ze wstrętu i martwieję. (*Wykonywa to*).

II Czeladnik (*obcierając się*). To ja za te buciki księżnej pani nie chcę już floty, tylko takich całusów dziesięć ognistych, jak tego Csikosa i pani de Korponay z tej powieści Jokaja[29], co to czytałem w dzieciństwie.

Księżna (*kierując ku niemu mały srebrny browning*). Wiem: „Biała dama" — dostaniesz dziesięć kul, jak ten Csikos.

I Czeladnik (*zdumiony w najwyższym stopniu*). To jako te piszą nieuświadomione literatniki — te rozbabrywacze pojęciowego porządku,

te nieczyste monisty, sakra ich pluga: „życie sztuką, a sztuka życiem”! Toż to mamy to, wicie, tu na naszej małej szewskiej scence — to syćko, co te bałaganiaste łby się wymądrzają!

Scurvy (*nagle opanowany, podnosi się*). He, he!

Sajetan. Patrzcie: znowu se hehe-huje. Wynalazł pewnikiem coś nowego, czym się znowu nad nami wywyższy. To huśtawka, a nie człowiek. On też nie jest taki bardzo syty — mówię wam: męczy się on wprost piekielnie, biedaczek, jako mówił — niedawno na Wawelu, a nie na Skałce, jako chcieli inni, pochowany — Karol Szymanowski[30]. Skałka je dla lokalnych sław, a nie dla prawdziwych geniuszy.

Scurvy (*zębami, na zimno, rwąc kwiaty*). Ja chcę i będę. Ja stanę na ich czele i wam pokażę zamek mojej duszy, największego człowieka mojej sfery, biednej, demokratycznej, niedojechanej do końca burżuazji. Ja muszę! Ja pokonam problem żołądkowy i postawię wasze zagadnienie na wyższej platformie ducha. Będziecie mnie jeszcze po rękach całować, wy moi bracia w nędzy duchowej.

Sajetan. Nikt cię nie prosi, ty Robercie Fraternité[31] jeden! My już nie potrzebujemy inteligentów — minął wasz czas. Z wibrionów powstaliśmy — w wibriony się obrócimy. Kocham zwierzęta. Czuję się naprawdę kuzynem jurajskich gadów i trylobitów sylurskich, a także świń i lemurów — czuję związek z wszechstworzeniem — rzadko to bywa, ale jest prawdą! Hej, hej! (*Wpada w ekstazę*).

Księżna (*z zachwytem*). Och, jakże kocham was za to, Sajetanie! Takim was kocham, śmierdzącego wszarza, ze słońcem wszechmiłości gadziej w sercu starego szewca naszej planety. Ja chyba będę waszą kiedyś — dla samej formy, dla fasonu, dla szyku — żeby tylko było to raz.

Sajetan (*śpiewa na nutę mazurka*).

Różnorodność przeżyć nigdy nie zaszkodzi,
Jeśli człek się przy tym nie bardzo zasmrodzi,
A gdy i to nawet, i tak nic nie szkodzi,
Bo właściwie mówiąc, kogo to obchodzi! Hej!

Księżna (*sypiąc na niego kwiaty*). Mnie obchodzi — mnie! Ale nie deklamujcie już więcej, boście tacy wtedy niesmaczni, że aż strach. Muszę się was wstydzić. Ja to co inszego — mogę sobie na to pozwolić, bom, wicie, popularnie mówiąc, Księżna — to trudno. (*krzyczy*) Hej! Hej! Witaj, pospolitości! Odpocznę w tobie za wszystkie męki moje: moje i moich przodków i ich zadków. Nawet ten biedny Scurvy nie wydaje mi się dziś tak małym.

II Czeladnik. W tej kwestii przodków coś jest! Rodzice są czymś też — to nie inkubator — a więc i przodkowie dalsi są czymś też, u diabła! Tylko nie trzeba doprowadzać tego do absurdu jako te arystokraty i te demi-arystony. Tu jest istota rzeczy: w tej jednej rzeczy zalecam umiarkowanie. Bo najgorsza rzecz na świecie to polski arystokrata — gorszy chyba od niego jest tylko polski półarystokrata, co się z niczego już wypusza. Geny,

wicie. Ale znowu przecie dobermany i airedale-terriery...

I Czeladnik (*przerywa mu*). Spróbuj tu, bracie, czego w tym życiu do absurdu nie doprowadzić, jako że to całe istnienie, święte i niepojęte, to jeden wielki absurd — walka potworów i tyle...

Księżna (*z żarliwością*). Dlatego że w Boga uwierzyć żarliwie nie... (*Sajetan wali ją w pysk, tak że cała krwią się zalewa balonik z fuksyną*. *Ona pada na kolana*.) Zęby mi wybił — moje zęby jak perełki! To prawdziwy...

Sajetan wali ją drugi raz, wtedy ona milknie, tylko klęczy sobie, popłakując.

Scurvy. Irenko! Irenko! Teraz już nigdy nie wybrnę z kręgu twej księżycowej duszy. (*deklamuje*).

W srebrzyste pola chciałbym z tobą iść
I marzyć cicho o nieznanym bycie,
W którym byś była moją samotnością,
I w noc tę prześnić całe moje życie.

I Czeladnik. A nad ranem patrzeć, jak ze strachu wymiotują skazane przez ciebie na śmierć żywe trupy. Tym się karmisz, kanalio; ty ich jeszcze przed śmiercią wampiryzujesz! *You vampyrise them*. *You rascal!* Ja byłem w Ohio.

Scurvy. Już nie ranią mnie te powiedzenia. To, co wy chcecie zrobić na ohydnie, na śmierdząco, na parszywie, ja dokonam w przepięknym śnie o sobie samym i o was — w cudownych barwach, ubrany we frak od Skwary i uperfumowany Californian Poppy jak ostatni dandys, zbawię ten świat jednym tajemniczym słowem, ale nie w waszym znaczeniu: równa się — cofnięcie kultury. Jeszcze nie wygasła magiczna wartość słów, w które wierzyli dawniej nasi wieszczowie, a dziś wierzą logistycy i husserliści[32]. Ja o tym mówiłem już — patrzcie: moje broszurki — których notabene nikt nie czyta — jeszcze przed kryzysem.

Księżna (*klęcząc*). Boże, jak on ględzi!

Scurvy. Arystokracja się przeżyła: to nie ludzie — to widma! Za długo nosiła na sobie ludzkość te widmowe wszy. Kapitalizm to złośliwy nowotwór, który zaczął gnić, zjadać i gangrenować organizm, który go wydał — oto dzisiejsza społeczna struktura. Trzeba zreformować kapitalizm, nie niszczyć inicjatywy prywatnej.

Sajetan. Banialuki!

Scurvy (*gorączkowo*). Albo cała ziemia przetworzy się dobrowolnie w jedną samorządzącą się elitycznie masę, co jest prawie nieprawdopodobne bez katastrofy ostatecznej — a tej unikać należy za wszelką cenę — albo kulturę trzeba cofnąć. Mam chaos we łbie wprost nieprawdopodobny! Stworzenie obiektywnego aparatu w postaci elity całej ludzkości jest niemożliwe, ponieważ przyrost intelektu odbiera odwagę czynu: największy mędrzec nie domyśli myśli swych do końca ze strachu choćby

przed samym sobą i obłędem, a i, tak będzie to za słabe wobec rzeczywistości. Strach przed sobą to nie legenda, to fakt — ludzkość też boi się samej siebie — ludzkość wariuje jako zbiorowość — jednostki wiedzą to, ale są bezsilne — otchłanne wprost myśli... Gdybym mógł spuścić z liberalnego tonu i chwilowo połączyć się z nimi, aby potem ich rozłożyć i zresorbować! (*Zamyśla się z palcem w gębie*).

Księżna (*wstaje, ociera chusteczką skrwawione usta i mówi*). Nudno, panie Robercie. To, co pan mówi, to są frazesy społecznego impotenta bez istotnych przekonań.

Scurvy (*zimno*). Tak? To do widzenia. (*Wychodzi, nie oglądając się*).

II Czeladnik. Genialne poczucie formy ma jednak ten prokurator mops: wyszedł w samą porę. A jednak on jest za inteligentny, aby być czymś dzisiaj: żeby dziś czegoś dokonać, trzeba być trochę durniem jednak.

Księżna. Więc my teraz zajmiemy się naszymi zwykłymi zajęciami codziennymi. Pracujcie dalej — jeszcze nie czas. Ja zmienię się kiedyś w wampirzycę, która wypuści z klatek wszystkie monstra świata. Ale on, aby wykonać swój program zbolszewizowanego inteligenta, musi wpierw zabić wszelki żywiołowy ruch społeczny. On wsadzi wszystko do szufladek, ale przy tym wsadzaniu połowie z was poukręca łby dla miary właściwej. On jeden ma wpływ na komendanta „Dziarskich Chłopców", Gnębona Puczymordę, ale nie chciał go nigdy użyć w imię absolutnego leseferyzmu[33], lesealizmu[34] i lesjebizmu społecznego. (*siada na zydlu i rozpoczyna wykład*) A więc, kochani szewcy moi: bliscy mi duchem jesteście bardziej nawet od fabrycznych, zmechanizowanych dzięki Taylorowi[35] robotników; bo w was, przedstawicielach ręcznego rzemiosła, utaiła się jeszcze osobowa tęsknota pierwotnego, leśnego i wodnego bydlęcia, którą my, arystokracja, zatraciliśmy wraz z intelektem i najprostszym nawet, chłopskim po prostu rozumem zupełnie. Jakoś dziś nie idzie mi, ale może to przejdzie. (*Chrząka długo i bardzo znacząco*).

Sajetan (*programowo, nieszczerze*). Hej! Hej! Ino tym chrząkaniem długim a znaczącym nie nadrabiajcie, pani, bo to nic nie pomoże! Hej!

Czeladnicy. Cha, cha! Hm, hm. Ino tak dalej! Dobrze będzie! Hu, hu!

Księżna (*dalej tonem wykładu*). Te kwiaty, które tu dziś wam przyniosłam, to są żonkile. Widzicie — o! — mają słupki i pręciki i w ten sposób się zapładniają, że owad, gdy wchodzi...

I Czeladnik. Taż ja się tego, Panie Święty, jeszcze w normalnej szkółce uczył! Ale takie mnie ciągotki biorą, gdy Księżna pani...

Sajetan. Hej! Hej! Hej!

II Czeladnik. Oderwać się od tego nie mogę. Taka płciowa ponura nuda i płciowa beznadziejność wprost straszna, jak w dożywotnim więzieniu. Gdybym teraz czego, uchowaj Boże, doznał, to byłoby chyba tak dobrze, żebym do końca życia z żalu za tym skowytał.

I Czeladnik. Jak to Księżna pani umie te najokropniejsze fibry wyrafinowanej płciowości nawet w prostym człowieku poruszyć i

rozbabrać... A! Mnie to aż mgli do takiej przyjemnej ohydnej męki... Okrucieństwo jest istotą...

Sajetan. Hej! Cichajcie! Niech idzie dziwna chwila zaśmierdziałego żywota, niech się święci i mija, niech morderczą, tragiczną chucią nas, wszarzy biednych, zabija. Chciałbym żyć krótko jak efemeryda, ale tęgo, a tu wlecze się ta gówniarska kiełbasa bez końca, aż za szary, nudny, jałowcowo-nieśmiertelnikowy horyzont beznadziejnego jałowego dnia, gdzie czeka wszawa zatęchła śmierć. Wciórności do mogilnego kubła — czy jak tam — wszystko jedno.

Księżna (*zakrywa oczy w zachwycie*). Spełnia się sen! Znalazłam media dla mego drugiego wcielenia na tej ziemi, (*do szewców*) Chciałabym uwznioślić waszą nienawiść, zamienić zawiść, zazdrość, wściekłość i nienasycenie życiem na dziką twórczą energię dla hiperkonstrukcji — tak się to nazywa — nowego życia społecznego, którego zarodki tkwią na pewno w waszych duszach, nie mających na pewno również nic wspólnego z waszymi spoconymi, zaśmierdziałymi, spracowanymi ciałami. Chciałabym mękę waszej pracy pić przez rurkę, jak komar krew hipopotama — o ile to możliwe w ogóle — i przemieniać na moje idejki, takie piękne, takie motylki, które kiedyś wołami się staną. Nie instytucje tworzą człowieka, ale człowiek instytucje.

I Czeladnik. Tylko bez blagi, jasna pani. Instytucje som wyrazem najwyższych dążeń, z nich się wykonstruowujom — a jak tej funkcji nie spełniajom, to wont z nimi — rozumiesz, jasna landrygo?

II Czeladnik. Cichoj — niech się całkiem wygada.

Księżna. Tak — pozwólcie mi raz otworzyć na oścież czy na ścieżaj nawet moją zatęchłą, umęczoną duszę! Więc na czym to stanęliśmy? Aha — żeby waszą nienawiść i złość zamienić na twórczy wybuch. Hm, jak to robić, sama nie wiem, ale to podyktuje mi moja intuicja — ta kobieca, która płynie z wnętrzności...

Sajetan (*z męką*). Ooooch!... I nawet z pewnych zewnętrzności... ooch!

Księżna. Ale jak ułagodzić waszą złość? Przecież wiadomo, że ludzie czasem gładzą jeden drugiego, aby doprowadzić go — tego drugiego — do jeszcze większej pasji. Jesteście teraz wściekli na mnie, Sajetanie, a jednocześnie musicie mnie podziwiać jako coś bezwzględnie wyższego od was, ja wiem: to męka! Gdybym was teraz pogładziła po ręku — o tak — (*gładzi go*) tobyście się jeszcze bardziej wściekli — wyleźlibyście wprost ze skóry...

Sajetan (*usuwa, wyrywa raczej, rękę jak oparzony*). O, ścierwa!! (*do Czeladników*) Widzieliście ta? To ci klasa świadomej perwersji! Chciałbym klasowo być tak uświadomionym, jak ta cholera, perwersyjnie, po kobiecemu, sakra jej suka, jest!

Księżna (*śmiejąc się*). Lubię w was tę wyższą świadomość waszej nędzy i tego łaskotliwego bólu, który was rozlizuje na wszawą miazgę. Pomyślcie: gdybym tak Scurvy'ego, który mnie pożąda do szaleństwa i już

jest jak przepełniona szklanka, którą lada potrącenie rozbić może, pomyślcie, Sajetanie, jak by on się wściekł i oszalał, gdybym go tak pieszczotliwie, z litością pogładziła i gdyby on mógł być jednocześnie wami trzema.

Groźny ruch trzech szewców ku niej.

Sajetan (*groźnie*). Wara od niej, chłopcy!!

I Czeladnik. Sam se, majster, waruj!

II Czeladnik. Raz, a dobrze!

Księżna. A potem piętnaście latek więzieńka! Scurvy by was nie oszczędził. Nie — a kysz! Teruś, fuj!!! Niech Fierdusieńko da mi sole angielskie natychmiast. (*Fierdusieńko podaje sole w zielonym flakoniku. Ona wącha i daje do wąchania szewcom, którzy uspokajają się, niestety na krótko*). Otóż widzicie: agitacja wasza wykorzystuje tylko to, że tamci pogodzić się nie mogą. Jeśli Scurvy, najwyższy dostojnik sprawiedliwości, która ma niezdrową manię niezależności, zdoła się dostatecznie podlizać organizacji „Dziarskich Chłopców”...

Sajetan (*z niedoścignionym wprost dla nikogo bólem*). I to mój syn tam je — za tę parszywą flotę — mój, mój własny u tych „Dziarskich Chłopców”, których dziarskość oby skisła w zawadiackim junactwie choćby! O — żebym raz już pękł z tego bólu — już mi bebechów wprost nie starczy. Chądrołaje przepuklinowe — już nie wiem nawet, jako kląć — nawet to mi dziś nie idzie dobrze.

I Czeladnik. Cichojcie — niech ta ścierwa, guano jej ciotka, wypowie się raz do końca.

II Czeladnik. Do końca, do końca!

Szarpie się dziko.

Księżna (*jakby nigdy nic*). Otóż chodzi tylko o to, że wy się nie umiecie zorganizować przez obawę wytworzenia organizacyjnej arystokracji i hierarchii, choć jesteście jedyni dziś w tym smrodowisku życia — cha, cha!

I Czeladnik. To ci sturba, psia ją cholera w suczą by ją wlań!

Sajetan. Już ci się też język w tych wyklinaniach skiełbasił — daj lepiej pokój. Ja chcę, żeby kto ten proceder raz detalicznie wyświetlił, a ten klnie już bez żadnego dowcipu i bez żadnej francuskiej lekkości. Poczytałbyś lepiej Słówka Boya, aby choć trochę kultury narodowej nabrać, ty wandrygo, ty chałapudro, ty skierdaszony wądrołaju, ty chliporzygu odwantroniony, ty wszawy bum...

Księżna (*zimno; urażona*). Słuchacie czy nie? Jeśli będziecie się wyklinać między sobą, to idę w tej chwili na *five o’clock*, starodawnym obyczajem arystokracji. Tylko wasze przekleństwa skierowane do mnie bawią mnie, wy chlipacy, wy purwykołcie, wy kurdypiełki zafądziane...

Sajetan (*ponuro*). Słuchamy! Ni pary z pyska.

Księżna. Otóż oni „naprzeciw” wam — tak to popularnie mówię, abyście pojęli nareszcie, „w czym dzieło”[36] — oni są różnorodni — to jest najistotniejsze. My, to jest arystokracja, to motyle różnobarwne nad ekskrementaliami[37] świata tego — widzieliście, jak czasem motyl na gówienku se siada? Dawniej to byliśmy jak robaki żelazne w trzewiach samej nieskończoności bytu, w transcendentnych prawach czy jak tam: ja tam nieuczona prosta hrabianka i tyla, i tyle tylko co — ale mniejsza z tym; otóż różnorodność ta nas gubi, bo dla nas, (*pour les aristos*)[38], „Dziarscy Chłopcy” zanadto demokratycznie dziarscy właśnie i nigdy nie wiadomo, w co się przetworzyć mogą, a Scurvy już się z państwowym socjalizmem dawnej daty wącha, a dla Jego Dziarskości Naczelnej, Gnębona Puczymordy, sam jest zbyt do was zbliżony — ach, ta względność społecznych perspektyw! Widzicie, jak ta drabina względności się przeplata i co jednemu śmierdzi, to drugiemu pachnie i na odwrót. Ja dramatu takiego ideowego nie cierpię, co to, wicie: burmistrz, kowal, dwunastu radnych, kobieta przez wielkie K, jako symbol prachuci, On — niby ten najważniejszy — nikt imienia nie zna, robotnicy, robotnice i ktoś nieznany, a w obłokach Chrystus z Karolem Marxem — nie Szymanowskim — pod rękę; nie mnie na takie bzdury brać; mnie trzeba wbić na pal, a potem w gębę prać. Ja lubię rzeczywistość, a nie zagwazdrane symbolizmy w częstochowskich wierszydłach epigonów Wyspiańskiego, oparte o gazetkową ekonomię polityczną bez żadnych studiów.

I Czeladnik. Roztrajkotała się, psia ją jucha mierzi, jak ostatnia bamflondryga. W mordę ją, w tę anielską kufę raz by zajechać, a potem niech się dzieje to, co chce.

II Czeladnik. Ja się boję, że jak raz dam, to będzie potem lustmord[39] — nie wytrzymam. O — majstrowi też niedobrze z oczu patrzy, bo ją już raz zeprał. Rozerwiemy ją, chłopcy, w kawały, tę duchową, kaczanowatą dragę...

Smakuje w powietrzu rękami i wargami mlaska.

Sajetan, przysuwając się groźnie chrząka; foksterier rzuca się ku nim: Hmr, hmr, hmr...

Księżna. Teruś! Fuj!

Zawala się ściana z okienkiem; wywala się zgniły pień; nagłe ociemnienie widoku w głębi, tylko dalekie błyskają światełka i słabo rozbłyska lampa u sufitu. Spod zasłony wychodzi Scurvy w czerwonym huzarskim uniformie á la Lassalle[40]*. Za nim wpadają w czerwonych trykotach, złoto szamerowanych, „Dziarscy Chłopcy” z synem Sajetana, Józiem, na czele.*

Scurvy. Oto „Dziarscy Chłopcy” — oto Józek Tempe, syn obecnego tu

Sajetana. Teraz nastąpi tak zwana „skrócona scenka reprezentacyjna" — my nie mamy czasu na długie procesy, że tak powiem, naturalne. Brać ich wszystkich, co do jednego! Tu jest gniazdo najohydniejszej, przeciwelitycznej rewolucji świata, chcącej sparaliżować wszelkie poczynania od góry — tu rodzi się ona z pomocą perwersji nienasyconej samicy, renegatki jej własnej klasy, a ostatecznym celem jej — babomatriarchat ku pohańbieniu męskiej, jędrnej siły — społeczeństwo jest kobietą — musi mieć samca, który je gwałci — otchłanne myśli — nieprawda?

Sajetan. Wstydź się pan — to potworna bzdura.

Scurvy. Milczeć, Sajetanie, milczeć, na Boga! Jesteście prezesem tajnego związku cofaczy kultury; my to zrobimy nie tracąc wysokości; tu twój syn ma głos, stary głupcze po prostu — nie będę klął. Zostałem przez telefon ministrem sprawiedliwości i wielości rzeczywistości[41], tej Chwistkowej. Wszystkich do więzienia za zgodą moją, w imię obrony elity umysłów najtęższych!

Sajetan (*z rozpaczą*). Raczej kilku brzuchów co rozroślejszych i maniaków — niewolników władzy pieniądza jako takiego — *als solches*[42] — psiamać.

Scurvy. Milcz, na rany Chrystusa...

Księżna. Pan nie ma prawa...

Zatłamszają ją, ale potem puszczają.

Scurvy (*kończy*). ...stary idioto, i nie mów banałów, bo nie ręczę dziś za siebie, a nie chcę rozpoczynać nowego życia jako pierwszy prokurator państwa od mordu w afekcie, jakkolwiek ostatecznie mógłbym sobie na to pozwolić. Jutro podpiszę wszystko w gabinecie — nie mam jeszcze pieczątki.

Sajetan. Co za głupio-drobno-małostkowość w takiej chwili!!

Scurvy (*do Księżnej, która spokojnie wącha kwiat*). Widzi pani: oto jest opanowanie bestialskich wprost pożądań: nic dla siebie; wszystko oddaję społeczeństwu.

Księżna. Czy i to?

Zamierza się szpicrutą, którą podał jej usłużny Fierdusieńko, w niższą część brzucha Scurvy'ego.

Scurvy (*odtrącając szpicrutę, krzyczy w dzikim szale*). Brać, brać ich wszystkich czworo! Może się to wydać nad wyraz śmiesznym, ale nikt nie wie, że tu tkwił perwersyjny węzeł sił mogących rozsadzić całą naszą przyszłość i pogrążyć świat w anarchii. Rachunek z panią odkładam na później — teraz nareszcie mamy czasu do syta.

Sajetan (*daje ręce pod kajdanki*). No — Józiek, prędzej! Nie wiedziałem, kogo moje łono...

Józek Tempe (*bardzo po aktorsku*). No, no ociec — bez frazesów. Tu

żadnych nie ma łon, tylko są fakta, i to społeczne, a nie nasze osobiste parszywostki: ostatni raz pręży się indywiduum przeciw wszawości przyszłych dni.

Sajetan. Niestety nie będziemy mówić niepotrzebnych rzeczy — hej!!!

"Dziarscy Chłopcy" zabierają się powoli do obecnych. Milczenie. Nuda. Powoli zapada kurtyna, podnosi się i znowu spada. Nuda coraz gorsza.

AKT DRUGI

Więzienie. Sala przymusowej bezrobotności, przedzielona tzw. „balaskami” na dwie części: na lewo nie ma nic, na prawo — wspaniale urządzony warsztat szewski. W środku na podwyższeniu, odgrodzona ozdobnymi kratami od reszty sali, katedra dla prokuratora, za nią drzwi, a nad nią witraż, przedstawiający „błogosławieństwo pracy zarobkowej” — może być zupełnie niezrozumiała kubistyczna bzdura — wyjaśnia ją widzom powyższa nazwa, wypisana ogromnymi literami. W lewej części sali błądzą szewcy z I aktu jak głodne hieny. Czasem kładą się lub siadają na ziemi — w ruchach ich widać pierwotne umęczenie nudą i brakiem pracy. Często drapią się i drapią jedni drugich w plecy. Na lewo stoi u drzwi Strażnik, zupełnie normalny, młody, byczy chłop w zielonym mundurze. Co chwila rzuca się na któregoś z szewców i mimo oporu wywleka go przeze drzwi, po czym zaraz prawie władowuje go na powrót.

Strażnik (*wskazując w głąb sceny ręką*). Jest to sala programowego bezrobocia w celu udręczenia osobników żądnych pracy. Witraż ten (*wskazuje w głąb*) przedstawia właśnie na złość błogosławieństwo pracy zarobkowej. Więcej nic do powiedzenia nie mam i do mówienia nikt mnie zmusić nie zdoła. Prostytutki miłosierdzia zostały u nas surowo zakazane. Ludzkość się rozwydrzyła — jeśli tak nie damy rady, wrócimy oficjalnie do tortur.

Sajetan (*łapie się za głowę*). Praca, praca, praca! — Byle jaka niech se będzie, ale niech będzie. O Boże! To jest — ach, już nic nie wiem. Boli mnie tak na wątpiach od tego przymusowego lenistwa, jakbym ogniem żądzy pracy cały był wypełniony. Może ja źle to powiedziałem? Ale co robić? Co robić?

I Czeladnik. Najpiękniejszej dziwki mi się tak nie chciało jako teraz tych zydlów i narzędzi. Ja się chyba wściekne! To jest banalne, psiajucha. Co to więzieniem można z człeka zrobić. Nikiej Wajld[43] albo Werlen[44] się przemieniłem i to bez nijakiego nawrócenia — och, och!

II Czeladnik. Teraz ja: pracy dajcie, bo zwariuję i co będzie wtedy? Co bądź: pantofle dla lalek, kopyta dla sztucznych zwierząt, urojone sandałki dla nigdy niebyłych Kopciuszków! Och — robić — co to było za szczęście! A nie docenialiśmy go, gdy było go po pas i w bród. O — na ten tryjont Boży — za wiele męki na nas, którzyśmy i przedtem niewiele mieli. Kaśka, gdzieżeś ty? I nigdy już!

Sajetan. Cichojcie, chłopcy. Mówi mi sama największa intuicja, że może być niedługie ichnie panowanie: coś stać się musi, a kiedy... (*Na Czeladnika I rzuca się Strażnik i wywleka go na lewo mimo krzyków i protestów; Sajetan kończy jak gdyby nigdy nic*) Nie mogę uwierzyć, żeby tak straszna siła, jak nasza, zgniła bezwładnie.

II Czeladnik. A iluż tak wierzyło i zgniło. Życie jest straszne.

Sajetan. Mówisz banały, kochanie.

II Czeladnik. Banały i banały. Prawdy największe są też banalne. Już nic na pokaz dla samych siebie z wątpiów naszych nie wydostaniemy. Zanudzić się w nieróbstwie programowym na śmierć, będąc odżywianym na siłę czterdziestu byków. To ohydne! Wyście starzy, ale mnie się wyć chce i przyjdzie czas, że się na śmierć zawyję. A życie mogłoby być takie pikne, takie straśnie fajne: z Kaśką po całym dniu nieludzkiej pracy wyrżnęlibyśmy sobie po dużym piwie!

Wchodzi na katedrę Scurvy — drzwiami górnymi na lewo.

Scurvy (*ubrany w czerwoną togę i takiż biret, śpiewa*).

Mahatma[45] wyrżnął małe piwko
I dobrze się zrobiło mu.
I będzie odtąd mu już dobrze.
Jeśli nie „tam”, to może „tu”!

Wskazuje palcem na ziemię. Strażnik wrzuca I Czeladnika. Scurvy’emu przynosi śniadanie na katedrę bardzo młoda, ładna Strażniczka w fartuszku na mundurku. Scurvy pije piwo z dużego kufla.

II Czeladnik. Już jest nasza jedyna pociecha, nasz dręczyciel, nasz dobrozłoczyńca. Żeby nie to, to naprawdę wściec by się można. Czy rozumiesz, ludzkości, ten niesamowity upadek najlepszych synów twych, że patrzenie na kata staje się jedyną kulturalną rozrywką, i to z tych szlachetnych, bo prócz tego to chyba my dwaj — bo majster nie — hi, hi — jak się brzydzę śmiechem moim, co brzmi jak płacz bezsilnego ciamkacza nad śmietnikiem pełnym ogryzków, niedopałków, wyczesków, skórek i blaszanych puszek — ładny komplet.

Sajetan. Cichoj — nie obnażaj twych wstrętnych ran przed naszym torturmistrzem — on tym puchnie i tyje duchowo w sobie.

Strażnik patrzy na zegarek — rzuca się na II Czeladnika i wywleka go za drzwi mimo jęków i oporu.

II Czeladnik (*w chwili małej pauzy w wywlekaniu*) O męko, męko! — nie móc nawet chwilki jednej robić, czego się chce! Czymże wobec tego jest przymus pracy...

Exit[46].

Scurvy (*do rymu, do „chce”*). He, he. Ja więcej cierpię, bo nie wiem zupełnie, kim jestem, od czasu jak mam władzę polityczną. Sprawiedliwość

tylko w najbardziej mdłych, demokratycznych, drobnomieszczańskich republikach była naprawdę niezależna, kiedy się nic społecznie ważnego nie działo, kiedy nie było żadnych aktualnych przemian, kiedy (*z rozpaczą w głosie*) po prostu było stojące, cuchnące bagno! O — gdyby można urządzić otwartą polityczną czerezwyczajkę[47] niemającą nic wspólnego z sądami!

Sajetan. Tylko wielkie społeczne idee usprawiedliwiają takie instytucje i dualizm sprawiedliwości. W imię spasionych czy zepsutych żołądków paru maniaków koncentracji kapitału będzie to wprost świństwem.

Scurvy (*zamyślony*). Nie wiem, czy jestem typem tchórza wytworzonym przez dyktaturę, czy prawdziwym wyznawcą faszyzmu w wydaniu „Dziarskich Chłopców"? Tężyzna sama w sobie! Kim jestem? Boże! Com ja z siebie uczynił! Liberalizm to guano — to najgorsze z kłamstw. Boże, Boże! — jestem cały z gumy, którą na coś niewiadomego naciągają. Kiedyż pęknę wreszcie? Tak żyć nie można, nie wolno, a żyje się jednak — to straszne.

Sajetan. On nam tu umyślnie demonstruje swoją mękę, aby pokazać nam, jak to się można ładnie męczyć istotnymi tak zwanymi problemami tam, na wolności, gdzie pracy w bród, gdzie dziwki są i słońce. Hej, hej! prokuratorze, zdaje mi się, że twą głową niedługo ktoś poorze. Może to będę ja — cha, cha!

Scurvy. Dość mi z tymi — czy tych po prostu wierszydeł z powyspiańskich gmachów nędznych jego epigonów. Rasa wieszczów wymarła i wy jej nie wskrzesicie i nie spłodzicie jej na nowo, choćbyście się z tą słynną „dziwką bosą" Wyspiańskiego — mówię to w cudzysłowie — ożenili...

I Czeladnik (*przerywa mu*). Nie mów o bosych dziwkach, na litosierdzie Boże, bo na samą myśl o tym zatyka mnie w tym więzieniu!

Scurvy (*kończąc dobrotliwie i spokojnie*). ...i na dożywocie sobie tu osiedli, co wcale przy dzisiejszej procedurze niemożliwe nie jest. A wasza rewolucja może nadejść akurat tak na dobę, dajmy na to, po waszvm sowicie zasłużonym zgonie od zgnicia na wilgotnej słomie: „*sur la paille humide*", jak mówią Francuzi — *nuci* o Francuzi, czyż bez ceny słów francuskich naszych blask?... (*tamci bledną najwyraźniej i rozdziawiają gęby, i padają na kolana*) Ha — bledniecie wyraźnie, kotki me, i gęby się wam tak śmiesznie jakoś rozdziawiają, i czuję ból i rozkosz — ten dla pewnych typów najwspanialszy koktejl uczuć, w którym beznadziejność istnienia, razem z jego najgłębszą niepowrotną cudownością, najgłębiej się przeżywa. (*Wpada wepchnięty przez StrażnikaII Czeladnik i też pada na kolana*). Rewolucje się nie spieszą — one mają czas, te bezosobowe bestie.

Sajetan (*na kolanach*). Ee — takie gadania półgłębokie: sam nie wie, co plecie, a inni myślą, że to właśnie najmędrsze.

I Czeladnik (*zbielałymi wargami*). Mnie wargi bieleją ze strachu podłego. Do-ży-wo-cie!

Pierwsze sylaby wymawia oddzielnie — na ostatniej pieje dziko.

Sajetan (*opanowując się nadludzkim wysiłkiem i wstając z kolan*). A ja się nadludzkim zaiste wysiłkiem opanowuję. A ja wiem, że dożyję. A ja mam w sobie intuicję i tempo: tempo di pempo, jak ktoś mówił, dziamdzia jego zafatrany glamzdoń. Ja wiem, jako czas idzie, i wiem to, że o ile dawniej nacjonalizm był czymś faktycznie świętym, i to specjalnie u narodów uciśnionych i tych, co przegrywali, to dziś jest klęską i będę to gadał, choćbyście mi tu dożywocie w dwójnasób przedłużyli i ozdobili codziennym mordobiciem w godzinę wypowiedzenia tych słów.

Scurvy. Jak to?

Sajetan. On się pyta jeszcze, chudopępek nieszczęsny: to jest już pseudoidejka, jako środek dla koncentracji międzynarodowego świństwa kapitału zużyta.

Scurvy. Dość tych przekleństw nudnych, a nade wszystko tej banalnej ideologii, bo każę prać.

II Czeladnik (*do Sajetana*). Cichajcie — wyście starzy: wy sobie możecie na wszystko pozwolić, nawet na odwagę bez granic. Ale jam — tak, jam — młodyć — tak, tak: dyć jezdem i kwita. Mnie się dziwek chce, wciornaści, jak diasi! (*Wyje głucho*.)

Scurvy (*oficjalnie*). Jeszcze raz kto dziwkę wspomni, a do ciemnicy pójdzie, jak mi Bóg miły. Więzienie święte jest, jako miejsce kary prawomocnej, i kalać go brzydkim słowem nie lza, panowie skazańcy!

Sajetan. Otóż wracam do poprzedniego: nacjonalizm nie wyda już nowej kultury, bo się wyprztykał. I zdradą stanu mimo to jest w każdym kraju antynacjonalizm specyficzny produkować — właśnie mimo że on to jest przyczyną wojen, międzynarodowych koncernów zbrojeniowych, barier celnych, nędzy, bezrobocia i kryzysu. I trwa ta mara na hańbę ludzkości i tę nędzną, niegodną siebie, na głupio samobójczą ludzkość, powiadam: pokryje!

Scurvy. Ja, wicie, kiedyś sam...

Sajetan (*z ironią*). Kiedyś! Wyście wszyscy kiedyś — chodzi o to, co teraz: żeby się zebrała nie liga dla załatwiania formalnych spraw onych nacjonalistycznych państw, co z samego założenia przy kapitalistycznym, za przeproszeniem, przepytujem, ustroju niemożliwym jest, tylko liga walki z nacjonalistycznym egoizmem, i to walki od góry, właśnie od tych elitycznych światłych łbów zaczynając. Ale jedno prawda jest: że kto co ma, to się tego nie wyrzeknie — trzeba mu to z mięsem razem, z flakami wyrwać. Jednostki dobrowolne rzadkie są jak rad, a cóż mówić o grupie — a jeszcze by ta — o klasie. Klasa klasą jest i do zniszczenia jej ostatniej pluskwy będzie — ha!

Scurvy (*z bólem okropnym wprost*). Sajetanie, Sajetanie!

Sajetan. Przecież języka nikt nikomu z gęby wyrwać nie chce — rozregionalizowane w naturalny sposób narody sztuczne może wyduszą jeszcze co ta ze siebie, czego jako takie nie wydadzą, bo zgniją, hej! Od

góry! — Rozumi pan, panie Scurvy: to nie byłaby żadna zdrada stanu wtedy — to byłaby pikna, humanitarna ideja jak się patrzy — komu, gdzie i co, pytam — czy nie?

Scurvy. Wy, Sajetanie, głowę na karku macie — tego wam nie neguję. Jedna by była wtedy pod jedną władzą organizacja świata i dobrobyt by się ogólny sam przez się przez opanowaną sztukę rozdziału dóbr ustanowił i o wojnach mowy by nawet być nie mogło...

Sajetan (*wyciągając do niego ręce — pierwszy raz się do niego zwraca — dotąd mówił twarzą ku publiczce onej sobaczej*.) Więc czemu pan tego sam nie zacznie? Czy wy myślicie, że my musimy robić rewolucję od dołu, nawet wtedy, gdy ona od góry bez kompromisów zrobiona być mogła? Każdy zostaje na swoim miejscu. Kto nie chce pracować w nowym ustroju — kula w łeb, a opornym wytrąca się od razu broń z ręki, pozbawiając ich podwładnych im ludzi. Czymże jest dowódca batalionu bez batalionu — kukłą w mundurze.

Scurvy (*zakłopotany*). Hm, hm..

Sajetan. Jeden dekret, drugi, trzeci i szlus. Więc czemu, powtarzam, pan tego sam nie zacznie, mając władzę, która ci na gówno w rękach gnije, skurwysynie, a mogłaby kupą piorunów twórczych być. Czemu, rozumiejąc to, nie masz Pan odwagi? Żal ci tego głupiego, spokojnego żyćka twego, które dowolnie niski stwór gdzieś głęboko ma? Czy to ze względu na publiczkę oną sobaczą, dla popularności — czy co? O — gdyby były wyższe potęgi, to modliłbym się do nich o oświecenie tej *hoch-explosiv*[48] bomby władzy, aby świadomie pękła z własnej woli. Czemu, jeśli jest towarzystwo świadomego macierzyństwa[49], nie ma instytutu oświecającego mężów stanu co do istotnego znaczenia słowa „ludzkość" i charakteru chwil dziejowych! Czemu są oni zawsze ciasnymi pionkami jakiejś zaściankowej idejki czy intrygi, u źródeł czy raczej na dnie której siedzi ohydny, bezpłodny, bezpłciowy już polip międzynarodowej finansjery, koncernu czystej formy chamstwa albo draństwa i tak dalej, i dalej. Czemu pan tego nie zrobi, mając władzę? Czemu?

Scurvy. To nie jest takie proste, *mon cher*[50] Sayetang[51]!

Sajetan. Bo pan tę władzę od nich otrzymał i boi się pan jej zużyć przeciw nim samym ze zbytku uczciwości. Taż to, panie, byłby makiawelizm[52] wyższej sorty[53], i to w imię najwyższego ideału: całej ludzkości. Czemu czeka pan jako ten głupi Alfons XIII[54] drugi czy Ludwik ów pradawny[55], aż pana wykurzą gwałtem z tego pałacu i tej katedry?

Scurvy (*smutnie, z ironią*). Aby wam, Sajetanie, zostawić coś do zrobienia. Gdybym ustąpił dobrowolnie, stracilibyście wasze bohaterskie miejsce w historii świata: bylibyście tak bezrobotni, jak wieszczowie i mesjaniści po tak zwanym oficjalnie nieomal prawie „wybuchnięciu Polski". Ludzkości nie ma — są tylko robaki w serze, który jest też kupą robaków.

Sajetan. Głupie żarty: niegodne lewego półpaznokcia palca prawej nogi

Gnębona Puczymordy.

Scurvy (*spokojnie*). Jako więźnia nieomal dożywotniego nie mogę już was, Sajetanie, ukarać dodatkowo. Przysługuje wam prawo bezkarnego obrażania mnie, ale chamstwem istotnym, nie w znaczeniu arystokratycznym, jest korzystanie z tego prawa. Bić nie każę — ja tylko tak gadam dla postrachu — jestem humanitarny.

Sajetan (*zawstydzony*). Dopraszam się łaski, panie Scurvy! Już nie będę nigdy.

Scurvy. Niech ta, niech ta — mówcie se dalej. Mówię tak, abyście nie czuli dystansu.

Sajetan. Do dzieci i ludzi prostych nigdy nie należy się, jak to mówią, zniżać. Oni się na tym od razu poznają i to ich obraża tylko.

Scurvy (*z pewnym zniecierpliwieniem; patrzy przy tym na zegarek*). Dobrze, dobrze — mówcie no.

Sajetan. Otóż, panie Scurvy, ta chwila jest jedyna, jak to mówią sobie kochankowie w erotycznych powieściach — na szczęście wymarło już to plemię. Nigdy jeszcze twarzą w twarz nie mówili do siebie przedstawiciele dwóch zasadniczych potęg, reprezentujących dwa nurtujące w każdym gatunku prądy: indywiduum i gatunku. To jest rzecz piekielnie zawikłana: bo indywiduum musi wystąpić za gatunek, a czasem za jego kawałek, kiedy czasy przyjdą, że ten kawałek ma właśnie misję reprezentowania całego gatunku, w imię którego musi być zrobiony umszturc[56] — zrozumiano?

Scurvy. Co za metafizyka historyczna! Ależ, Sajetanie; tę misję — jak powiadacie — będzie miał ten „kawałek gatunku", jak się wyrażacie — któremu materialnie jest źle. A władza pochodzi od totemu — pamiętajcie, że bez władzy nie byłoby ludzkości w dzisiejszym znaczeniu, w której wy byście wasze wolnościowe szpryngle[57] wyprawiać (*z szalonym naciskiem*) i siebie najistotniej jako indywiduum — to mówię z największym naciskiem — w nich przeżywać mogli. Tu jest punkt istotny, tu hrabiowie mają trochę racji, psia ich mać. Aby zaś działać, trzeba być trochę głupim, takim ciasnym, wicie. Prawdziwie mądry facet działać nie będzie: zapatrzy się we własny pępek i tyla. I tego wama, tych waszych dóbr duchowych, odbierać nie chcę. Ja widzę najtajniejsze podszewki życia i ludzkich dusz.

Sajetan. Parszywe, prokuratorskie, w ujemnym znaczeniu mówię — nie ciskaj się pan tak zaraz jak ryba — [znawstwo] w którym znawca wszystkich, a pokąd i siebie, za różnorodne tylko świnie uważa, nie jest znawstwem życia istotnym. A zresztą może jest w tym i racja, ale to jest [jak] z tą płytką zasadą, że nawet altruizm jest egoizmem — tu dotykamy rzeczy zasadniczych, że istnienie bez istnienia indywidualnego i wielości ich jest nie-do-pomyślenia. Ale wróćmy do poprzedniego, mimo że dzisiejsza zidiociała publika rzyga od trochę przydługich i co mądrzejszych rozmówek. Otóż niech pan naprawdę dobrze pomyśli: niech pan wyjdzie pierwszy przed front i zniesie wszelkie bariery narodów, a zapanuje złoty

wiek ludzkości: to jest banał; co miała dać kultura narodowa, to dała — po co mamy żyć przywaleni jej gnijącym ścierwem? Po co, pytam się? Przecie pan w przyszłość ludzkości, w tej formie właśnie, nie wierzy?

Scurvy. Sajetanie, Sajetanie! Czyż na to trzeba było kory mózgowej u pewnych jaszczurów w jurze i triasie, aby stworzyć coś tak promiennego i ohydnego zarazem jak rodzaj ludzki?

Sajetan. Nie wymiguj się od odpowiedzi ! Co cię wstrzymuje? Przecież jawnie kłamiesz. Widzę to czysto, powiadam, intuicyjnie: nie jesteś ciasnym fanatykiem nacjonalizmu zaborczego, że tak powiem już ultradelikatnie.

Scurvy (*wymijająco, ale wsiotaki*[58] *z rozpaczą, cholera*). Nie macie pojęcia, co za tragedia...

Sajetan. On mi tu będzie swymi tragediataliami głowę zawracać! Moja — to jest tragedia prawdziwa! Ja widzę prawdę ostateczną całej ludzkości i przez to, że jom widzem właśnie, moje osobiste życie upływa jak najczarniejszy, kloaczny nieomal koszmarek, gdy wy pławicie się w dziwkach i majonezach.

Obaj Czeladnicy (*ryczą*). Haaaa! Haaaaaa!!

Scurvy. Dziwka w majonezie! Czego też taki biedak nie wymyśli! Muszę spróbować!

Sajetan. Odpowiadaj, sturba twoja suka, bo ci ośrodek sumienia sparaliżuję fluidem skupionej we mnie woli milionów.

Scurvy. Natchniony starzec — rzecz dziś niezmiernie rzadka.

Sajetan. Hej, hej, prokuratorze; coś mi się widzi, że niezadługo pożałujecie tych tanich słówek!

Scurvy (*poważnieje i miesza się*). Sajetanie, czyż nie widzicie, że maskuję przed wami potworną tragedię mego położenia realnego i straszliwą wprost pustkę wewnętrzną? Poza tak zwanym problemem Iriny Wsiewołodowny nie ma we mnie dosłownie nic — wyjedzona skorupka od nigdy niebyłego raka. Witkacy, ten zakopiański zagwazdraniec, chciał mnie namówić na zajmowanie się filozofią — i tego nie mogłem nawet zrobić. Jak ona przestanie się nade mną znęcać, po prostu przestanę istnieć, a żyć będę musiał z przyzwyczajenia.

Sajetan. I żreć te wąparsje w sosach nieomal astralnych, gdy my tu łapiemy sześć wszy na minutę, nie śpimy wcale od ciągłego swędzenia, w zimie marzniemy, a w lecie dusimy się od upału w smrodzie nieomal transcendentalnym i stałym wszechstronnym rozdrażnieniu wszystkich zmysłów, dochodzącym do szału, w nienawiści, zawiści i zazdrości w potęgach wprost niewyrażalnych słowami, a tylko pchnięciem... (*Robi gest.*)

Scurvy. Dosyć o tym, bo ja się uduszę w sobie jak młoda kaczka — bo ja wiem, co mówię — jestem à *bout de mes forces vitales*[59]. Chcesz wiedzieć, wole jeden, czemu nie mogę ustąpić? — Właśnie dlatego, że muszę jeść to, co muszę i co mnie nauczono; że muszę się porządnie umyć, zmanikiurować, spać miękko i nie śmierdzieć jak wy; pójść do teatru i

mieć dobrą dziwkę jako antydot[60] przeciw tej perle wszystkich piekieł świata, tej… (*wygraża obiema pięściami na prawo, a potem na lewo*) Nawet moja władza i tortury zgnieść jej nie mogą, bo ona to lubi, to właśnie lubi, ścierwa jej sturbiasta wlań, i ja, nie doznając niczego sam — bo gwałtem się brzydzę jak kapral karaluchem — wszystkim, co zrobić mogę, tylko jej jeszcze większą rozkosz dam… (*Prawie barytonem śpiewa od „tylko” począwszy*.)

Sajetan. Oto są istotne problemy, naprawdę istotne problemy rządzących nami ludzi. To jest potworność, na którą słów brak dosłownie. Cała działalność takiego pana pozornie jest tylko dla państwa, idei, ludzkości — naprawdę chodzi o te „godziny pozabiurowe” — mówię to w cudzysłowie — gdy się objawia człowiek sam dla siebie…

Scurvy. Milcz — nie pojmujesz potwornego konfliktu przeciwnych potęg w mym wnętrzu. Ja kłamię z całą świadomością jako minister, ja wieszam bez przekonania, aby żreć te wąparsje, te mątwy tak smaczne diabelnie z Zatoki Meksykańskiej — tak: muszę kłamać i powiem ci, że dziś 98% — obliczenie Głównego Urzędu Statystycznego — bo statystyka wszystkim jest dziś i w fizyce, i co najważniejsze w metafizyce monadologicznej z jej prymatem materii żywej — otóż 98% tej całej naszej bandy robi to samo bez przekonania, tylko dla utrzymania resztek ginącej klasy — jakich indywiduów, chcesz wiedzieć? — zwykłych żuiserów[61] pod maską jakichś idei, mniej lub więcej kłamliwych. Ludzie teraz to tylko wy — to każdy wie. A dlatego tylko, żeście po tamtej stronie; jak przejdziecie tę linijkę, będziecie tacy sami jak my.

Sajetan (*z emfazą*). Nigdy — przenigdy! (*Scurvy śmieje się ironicznie*). My stworzymy bezkompromisową ludzkość. Sowiecka Rosja to tylko bohaterska próbka — dobra i taka, jako wysepka we wrogim oceanie. Ale my stworzymy od razu taką ludzkość, jaką będzie aż po zgaśnięcie słońca, aż po zagwazdrany koniec naszych gadów na zamarzłej ziemiczce naszej kochanej i świętej.

Scurvy. Zawsze musi coś takiego niesmacznego kropnąć: taktu się hołota nie nauczy nigdy i poczucia miary. (*krzyczy*) Do pisuaru z nim!

Wywlekają I Czeladnika do pisuaru.

Sajetan. A ty miarę masz, jak myślisz o niej? — ty świniarzu?!

Prokurator żachnął się i zżymnął.

Scurvy. Żachnąłem się, zżymnąłem się i lepiej mi od razu jest. (*dzwoni w ręczny dzwonek; wpada straż z dwóch stron za balaskami*) Dawać mi tu tę Irinę Tmutarakańską na konfrontację! Czemu tak mówię — nie wiem. To nie dowcip — to dziwna surrealistyczna konieczność w dowolności.

Sajetan. Czym się zajmuje ten potwór? Jakimiś subtelnościami

zupełnych kretynizmów — oto ich tak zwane życie intelektualne, po obowiązkowej gnębicielskiej pracy po biurach i buduarach.

Scurvy. Nie rozumiecie całego uroku znawstwa czegokolwiek bądź u bezpłodnych impotentów takich jak ja — to są otchłanie rozkoszy usprawiedliwienia swego bytu — takie dziamdzianie się w sobie...

Sajetan. A dałbyś pan już spokój — Bóg z tobą, panie Scurvy. Boże, Boże — mówię to machinalnie. Ta pustka tych dni! Czym ją zapełnić zdołam?! Rozmowa z tym wcielonym kłamem (*wskazuje na prokuratora*) zdawała mi się rajem wobec samotności i przymusowego celkowego bezczynu. O, względności wszystkiego! Obym się nie zmienił tak, abym siebie poznać już nie mógł! Kim będę za trzy dni, za dwa tygodnie, za trzy lata... lata, lata...

Pada na kolana i płacze. Stróżowie wprowadzają Księżnę do kompartymentu na prawo, rzucają koło zydli i wychodzą. Księżna w ubranku aresztanckim wygląda uroczo jak młoda gimnazjalistka.

Scurvy (*zimno*). Proszę pracować. (*Księżna, milcząc głucho, zabiera się do robienia butów bardzo niedołężnie, z upiorną wprost niechęcią.*) No, no — bez tych płaczów i spazmów — proszę nie przerywać. Rozmowa była ciekawa — to fakt.

Strażnicy wrzucają I Czeladnika.

Księżna. Wprost upiornie nie chce mi się butów szyć, a rozkosz czuję mimo to. Wszystko zmienia się u mnie w rozkosz. Taka już jestem dziwna, (*dumnym tonem*) Pan zawsze tylko wszystko „tego" dla czystej dialektyki. Dla pana odpowiedniki pojęć to furda, jak mówią Polacy. Pana tylko obchodzą związki pojęć między sobą. (*Płacze.*)

Scurvy. Na przykład związek pojęcia pani ciała, czyli ściślej: rozciągłości samej dla siebie, z pojęciem takiejże rozciągłości mojej — hi, hi, cha, cha! (*śmieje się histerycznie, trochę łka i mówi do Sajetana, który przestał właśnie płakać — a więc była chwila, że płakali wszyscy troje — nawet Czeladnicy też podchlipywali*) Mnie w tym wszystkim, co wy mówicie, peszy to, że wy otwarcie robicie to tylko i jedynie dla brzucha — och, co za banał! My mamy idee.

Sajetan. Rzygam już tą rozmową pospolitą jak myśli kaprawego kaprala na Capri — ten dowcip bez dowcipu wyraża bezpośrednio ohydę tego stanu. Macie idee, boście nażarci — macie czas.

Księżna (*robiąc buciki*). Tak — o tak — o tak...

Scurvy. Płaski jak soliter materializm wasz przeraża mnie. Co będzie dalej, dalej, dalej... I zazdroszczę wam do obłędu możliwości mówienia prawdy i, co ważniejsza, odczuwania jej bezpośrednio. Ta ludzkość, zjadająca sama siebie od ogona zaczynając, przeraża mnie jako widmo

przyszłości.

Sajetan. Ty sam, koteczku, bronisz tylko i jedynie twego i tobie podobnych brzucha i brzuchów — po prostu boli mnie ten banał jak rozpalone żelazo w kiszce odchodowej. My, gdy zdobędziemy brzuch, stworzymy wtedy nowe życie — czy to głęboka wiara, czy frazes bez pokrycia? Cofnięcie kultury bez tracenia wysokości duchowej — oto nasza idea. A zacząć można zwaliwszy nacjonalne rogatki i słupki.

Scurvy. W to nie wierzę — wybaczcie, Sajetanie, jakkolwiek być może, że to sam przed chwilą mówiłem. Ale... (*po namyśle*). Tak, ja się przyznaję: my nie możemy się tylko wyrzec dobrowolnie standardu naszego życia — to jest najtrudniejsza rzecz. To zrobiło paru świętych, ale nie wie dokładnie nikt, jaką im to dało rozkosz piekielną w innym wymiarze.

Sajetan. Kompensata być musi. Ale ilu świętych znowu cierpiało nieludzko do końca życia przez ambicję, honor i ciśnienie organizacji...

Scurvy. Czekajcie — pozwólcie mi myśleć — jak mówił Emil Breiter[62] kiedyś: gdyby nikt nie dążył do wyższego standardu, nie byłoby nic: żadnej kultury, nauki, sztuki — komunistyczny, totemiczny klan pierwotny trwałby bez „potlaczu"[63], tej śmiesznej rywalizacji, jako początku władzy...

Sajetan. Wiem: złowić sześćset ryb, gdy przeciwnik tylko trzysta, i na przykład dwieście wrzucić na powrót do morza...

Scurvy. Mądrzyście, Sajetanie, bo mądrzy. Otóż trwałby ten klan aż do zgaśnięcia słońca i co? — Bezforemny, astrukturalny, bez możności przezwyciężenia siebie w wyższych regionach form bytowania społecznego. Ale mój codzienny dzionek, który wydarłem ja, mały prowincjonalny burżujek, z nicości wprost, przez naukę prawa, przez długie lata prawomocnego mordowania zbrodniarzy, przez potworne wprost obkuwanie się wszystkim w wolnych chwilach mych cudnych, należy tylko do mnie i nie oddam go dobrowolnie nigdy. Ale z drugiej strony nie wierzę już w to nowe życie, które stworzyć macie wy — oto moja tragedia jak na patelni.

Sajetan. Pluję na nią, gwazdram! Bezkresne są możliwości, jeśli spadną bariery między narodami. Myśli, które powstaną wtedy, nie dadzą się obliczyć dziś z naszą znajomością historii praw i nędznym bałaganem naszych pojęć.

Scurvy. Nie lubię, jak się puszczacie na spekulacje powyżej waszej intelektualnej pojemności. Nie macie odpowiednich pojęć, aby to wyrazić. Ja aparat pojęciowy mam — aby kłamać. Tej tragedii nie pojmuje nikt! To aż dziwne chwilami jest.

Sajetan. Tragedia zaczyna się tam, gdzie boli we wątpiach. Te myśli nie dochodzą ci, prokuratorze, do nerwu błędnego — to tylko kora mózgowa cierpi bezboleśnie, wspaniale, ścierwa jej mać. To je dla nas, z naszego punktu widzenia, czysta zabawa, ino te twoje tragedie — to rozkosz: położyć się wieczorem po dziwkach i wąparsjach w łóżeczku,

poczytać se, pomyśleć o takich bzdurach i zasnąć, ciesząc się, że jest się takim interesującym panem dla jakiejś lafiryndy zafądzianej. O, gdybym ja się mógł taką tragedią zabawić! Boże — cóż to byłoby za nieludzkie szczęście! Co za szczęście — o, żeby mi te flaki choć na chwilę przestały boleć za siebie i za ludzkość całą — o, hej! (*Skręca się cały. Księżna z lubością się śmieje.*)

Scurvy (*do Księżnej*). Nie śmiej się, małpo, z taką lubością, bo pęknę. (*z naciskiem do Sajetana*) Otóż to trzeba by udowodnić, że one za ludzkość całą was bolą. Może takich wypadków w ogóle nie ma? (*Ciężkie milczenie trwa bardzo długo; mówi Scurvy na tle ciszy, w której* (*sic!*) *słychać dalekie tango w radiu.*) To dancing w hotelu „Savoy” w Londynie. Tam się bawią naprawdę. Pozwólcie mi wyjść na chwilę — ja też jestem człowiekiem. (*Wybiega na lewo.*)

Sajetan. Taki to syćko se wej zrobi, kie zechce — a my nawet...

Księżna. Cicho — nie śmieszcie mnie. Zupełnie łaskoczecie mi mózg waszymi pomysłami.

Sajetan (*rozczulony nagle*). O gołąbeczko moja! Ty nie wiesz, jak szczęśliwą jesteś, że pracować możesz! Jak się nam rwą do pracy te gicale i paluchy śmierdzące, jak się syćko w nas do tej jedynej pocieszycielki wypina, jaze do pęknięcia. A tu nic. Patrz w szarą, chropawą do tego ścianę, wariuj, ile chcesz. Myśli lazą jak pluskwy do łóżka. I puchną te bolące wątpia z nudy tak strasznej, jak góra Gauryzankar jaki, a śmierdzącej jak Cloaca Maxima, jak Mount Excrement z powieści fantastycznej pisarza Buldoga Myrke — z nudy, która boli jak wrzód, jak karbunkuł[64] — znowu, psiachyl, słów mi brak, a gadać się chce jak czego innego. E — co tu gadać; i tak nikt tego nie zrozumie. Już mi nawet zabrakło samej przedsłownej mazi. I po co tu co wyrażać? Po co ryczeć i łkać, po co flaki pruć, po prostu i na wspak? Po co? po co? po co? To okropne słowo „po co?”. To wcielenie najboleśniejszej nicości — a więc po co? Kiedy pracy ni ma i nic z tego być nie może. (*pełznie do kraty; do Księżnej*) Jasna pani: ukochana jedyna moja pieszczotko, koteczko transcendentalna, metampsychiczne cielątko boże, bogoziemne a tak przyjemne, zmyślne i pojętne jak myszka jaka czy co — ty nie wiesz, jak szczęśliwą jesteś, że pracę masz! — to jedyne usprawiedliwienie stworu żywego w jego nędzy ograniczeń wszelakich, od czaso-przestrzennych począwszy.

Księżna. Umetafizycznienie pracy jest przejściowym okresem tej kwestii. Wielcy panowie egipscy tego nie potrzebowali, jak również nie będą potrzebować ludzie przyszłości. Ten wyje o pracę, która mnie wprost w dwójnasób, i duchowo, i fizycznie, łamie. Oto jest względność wszystkiego — to wpływ tego Einsteina — ja dawno już...

I Czeladnik. A dyć to je wstyd, psiokrew zapowietrzona! To je inteligencka trajdocha! Taż ja to wiem już, że teoria względności w fizyce nic nie ma do czynienia ze względnością etyki i estetyki, i dialektyki, i tak

dalej! — tamda-lamda, tramda-lambda! Nie bedem gadał — rzygać się od tej gadaniny ino chce. Hej, hej! — Sajetanie — nie będziemy gadać niepotrzebnych rzeczy — takośmy ta se wtedy gadali — a tera co? Ileśmy tych niepotrzebności nagadali, a pracę nam dali obejrzeć z takiej strony, że nikiej landryga podmiejska w niedzielę ponętną nam się stała. Takie dałem porównanie, bo na te prawdziwie ładne panny ze świata to ja nawet nie reaguję, wicie, płciowo zupełnie — za ładne są, suka ich rwań zachlebiona — za ładne i za nie-dostępne! (*powtarza z rozpaczą*) I na równi mi się chce buty szyć, jak dziwek prostych, ordynarnych! (*obłędnie spokojnie*) Dajcie pracy, bo będzie źle! (*z okropną rezygnacją*) Ale co to kogo obchodzi? To mówię z okropną wprost rezygnacją, dla nikogo dziś niepojętą.

Scurvy (*śpiewa za sceną*).

Znudziły mi się wszystkie famdiumondy[65]
I zwykłych dziwek mi się wprost potwornie chce.
Chciałbym mieć nowe całkiem dziś oglądy.
A potem zrobić coś takiego bardzo „fe”!

Księżna nasłuchuje bardzo uważnie.

II Czeladnik (*do I Czeladnika*). Nie będziesz do społeczeństwa jak do matki mówił i się do niego modlił, bo cię nie zrozumi i jeszcze ci w pyzdry kopniaka za te umizgi dziecięce da — hej!

Sajetan. O, nie mówcie tego „hej” — nie używajcie go, na Boga! Nie przypominajcie mi tych czasów na zawsze minionych! — „*o, ma mignonne*”[66] — bo mi się wątpia[67] drą z żałości tak plugawej i nijak nieestetycznej, że wstyd mi okropnie i wstręt taki do siebie mam, jakbym był żywym karaluchem we własnej gębie. Hej, hej!

Na katedrę wbiega Scurvy i dziwnie się zapina jakoś (*marynarkę i tego*) *i zaciera ręce*. *Księżna obserwuje go bardzo badawczo — ostentacyjnie nieomal*.

Scurvy. Zimno, psiakrew, siarczyste we wszystkich ubikacjach tutejszych — mrozik bierze. Będą mi dziś smakować po tym wszystkim smażone meksykańskie mątewki. *Tango z oddali*. A przedtem pójdę na ślizgawkę przy muzyczce. (*wącha w przestrzeń*) Potworny smród — to dusze ich gniją w bezczynności ohydnej, rozkładającej ich w zdechłą marmoladę.

Księżna. (*zabierając się do pracy*). To jest sadyzm — to moja sfera i tereny.

Scurvy (*histerycznie*). A, już nudzi mnie to, do wszystkich diabłów! Jak będziecie tacy, każę was wszystkich powywieszać bez sądu! Od czego mam władzę? A? To by był wyczyn sportowy pierwszej klasy. O władzo — jakżeż otchłanne — tak, otchłanne i wonne są twoje pokusy.

Księżna (*przestaje szyć buty*). Wiesz, Scurvy, Scurviatko biedne i niedojdowate: zaczynasz mi się teraz dopiero podobać. Ja muszę przejść przez wszystko w życiu, poznać najgorsze, zapluskwione nory duszy i krystaliczne szczyty niedosiężne w księżycowe noce bez dna…

Scurvy. Co za styl sobaczy — taż to skandal…

Księżna (*nie peszący się bynajmniej*). Jako prawdziwej arystokratki niczym mnie speszyć nie można — to nasza wspaniała właściwość. Otóż, muszę przez ciebie przejść, bo życie moje inaczej będzie niezupełne. A potem, gdy ty, wsadzony przez nich, (*wskazuje na szewców butem, który trzyma w lewej ręce*) będziesz w loszku gnić konając z żądzy za mną — tak, za mną: żądza za kimś, właśnie o to chodzi — za dużym piwem i tartinkami[68] u Langrodiego, ja oddam się Sajetanowi na szczytach jego władzy, a potem tym cudnym chłopakom śmierdzącym — tym, tym szewskim zagwazdrańcom nie z tego świata — hej, o hej! I wtedy będę wreszcie, ach, szczęśliwa, gdy ty byś oddał życie za rąbek sukni mej i za pół litra żywieckiego piwa.

Scurvy (*zmartwiały z żądzy*). Zmartwiałem wprost z piekielnej żądzy połączonej z ohydnym niesmakiem. Jestem faktycznie jak pełna szklanka: boję się ruszyć, aby się nie wylała. Oczy mi na łeb wyłażą. Wszystko mi puchnie jak sałata, a mózg mój jest jak wata umoczona w ropie zaświatowych ran. O, pokuso niedosiężna w swej dzikości bez dna! Pierwsze bezprawie w imię prawomocnej władzy. (*nagle ryczy*) Wychodź z więzienia, małpo metafizyczna! Co będzie, to będzie: użyję raz, choćbym z żalu potem skonać miał jak zbrodniarze hodowani przez księcia des Esseintes u Huysmansa[69]!

Księżna. My mówimy jak zwykli ludzie, nie oślepieni ideami ideowcy. Zwykły człowiek nie zniży dobrowolnie standardu życia, chyba że mu się da porządnie w pysk. I ty też, Scurviątko moje biedne. Ja nie mówię nawet o ideowej stronie rzeczy, tylko o tym mięsnym, bebechowym, rozbestwionym, rozłaskotanym podłożu, na którym wasza osobowość pnie się jak jadowita kobra w dżungli.

Scurvy. U was, kobiet, to jest inaczej…

Księżna. Istnienie jest potworne, zrozum to. Tylko fikcje małego wycinka społecznego bytu naszego gatunku stworzyły fikcję sensu całości bytu. Wszystko polega na wyżeraniu się gatunków. Równowaga walczących mikrobów umożliwia nam istnienie — gdyby nie ta walka, jeden gatunek pokryłby w kilka dni sobą — o ile miałby co żreć — skorupę ziemską warstwą na sześćdziesiąt kilometrów grubą.

Scurvy. Ach, jaka ona mądra jednak jest! To podnieca mnie do szału. Chodź do mnie taka, jak jesteś: nie umyta, przepojona więziennym nastrojem i zapachem.

Księżna wstaje, rzuca but z hałasem i stoi dziwnie jakoś zamyślona.

Księżna. Tak jakoś się dziwnie zamyśliłam — po kobiecemu — ja nie myślę mózgiem — o nie, bynajmniej. To myśli we mnie mój potwór. Może jednak nie oddam ci się wcale. Robercie — tak będzie lepiej: potworniej, a dla mnie przyjemniej nawet.

Scurvy. O, nie! — Teraz nie możesz już! (*zrzuca purpurową togę*) Teraz wściekłbym się.

Biegnie do kraty i gorączkowo otwiera drzwi z klucza.

Sajetan. I to takimi rzeczami, i takimi problemami zajmuje się ta banda — *eine ganz konzeptionslose Bande*[70] — gdy bez pracy my konamy jak ścierwa. Techniczni wykonawcy nieistniejących myślątek — ot co! Nawet kobiet mi się nie chce z tej czystej żądzy sfabrykowania czegokolwiek bądź.

Czeladnicy (*chórem*). I nam też! I nam!

I Czeladnik. Problem maszyny zostawiliśmy chwilowo na boku: maszyna jest zbyt zbanalizowana — wiadomo wszystko — dorżnęli ją zaś futuryści — brrrrr… zimno się robi na sam dźwięk słowa „obrabiarka”!

II Czeladnik. Maszyna to tylko przedłużenie rąk — zrobiła się, wicie, taka akromegalia[71] — trzeba ciąć. Część maszyn będzie zresztą zniszczona w naszej koncepcji cofnięcia kultury. Wynalazcy będą karani śmiercią w torturach.

Sajetan (*olśniony nagle nową ideą*). Jestem wprost olśniony nową ideą od środka! Hej, chłopcy: rozwalmy te nędzne, dziecinne balaski i pracujmy wraz natychmiast jak diabły. Bierwa się! Dumping[72] ręczno-butowy! Tera jabo nigdy! Hej! Hej!

I Czeladnik. Ale co będzie dalej?

Sajetan. Choćby na pięć minut użyjemy za dziesięciu, nim nas skują i zmasakrują. Życie jest jedno — nie myśleć nic. Gwałt pracowników nad pracą — o, hej!!

Czeladnicy. A walmy! Abo — abo! Sturba wasza suka! Niech ta! Co nam tam! He, he!

I tym podobne wykrzykniki. Rzucają się wszyscy trzej, „w mig” rozwalają balaski i ciskają się jak głodne bestie na zydle, narządka szewskie, zwoje skór i buty. Zaczynają gorączkowo, zaciekle pracować. Tymczasem Scurvy narzuca swą czerwoną togę na więzienny strój Księżnej — w którym ona wyjątkowo ponętnie wygląda — stoją zgrupowani na katedrze. On trzyma ją w objęciach. Mizdrzą się.

Scurvy (*z czułością*). Ty mój mały prokuratorze: zacałuję cię dziś na śmierć.

Księżna (*na tle sapania szewców*). Ohydny musisz być w erotyzmie, sądząc po tym dowcipku. Przynajmniej milcz — lubię, gdy to się odbywa

jako milcząca, ponura ceremonia upodlenia samca w absolutnej ciszy — wtedy wsłuchuję się w wieczność.

Sajetan (*sapiąc*). Tu — dawaj dratwę — bij — tu ją tak…

I Czeladnik (*sapiąc*). Macie — tu prędzej — hej, kołek — daj skórkę…

II Czeladnik (*sapiąc*). Przyklapnąć toto — o tak — zaklep — szyj — prać — gwazdrać — gwajdlić…

Coś zaczyna być wariackiego w ich pracy.

Scurvy (*z naciskiem*). Patrz, kochanie, za gorączkowo pracują. W tym jest coś strasznego. Mówię to z prawdziwym naciskiem, po prostu podkreślam to. To nowa epoka jakaś się zaczyna czy co, u diabła starego?!

Księżna. Cicho — patrzmy — to straszne! Ja tylko co byłam w tym świecie. Tyś mnie uwolnił, kochany!

Sajetan (*odwracając ku nim głowę, z ironią*). Za gorączkowo pracują! Abezjańska róża! Tyś nigdy tego nie rozumiał. Praca! (*w natchnieniu dzikim wali młotem; tamci wyrywają sobie wszystko; leci im to z rąk; jęczą głucho w zapale*) O, praco, praco! — Za ciebie, ale tobie nie zapłacą! Precz z tym! To te głupie prorocze wierszydła! Ja jestem realista. Dawaj — masz go — gwóźdź. O, gwoździu, dziwny gościu podbutowy — któż twoją dziwność oceni? Dziwność pracy! Czyż jest wyższa marka dziwności? — Wziąwszy pod uwagę ohydną pospolitość tej ostatniej — to jest pracy. Kuj! Wal! Ręce się palą — flaków nie starczy — rżnij, smaruj i pal — potem się chwal, póki nie wbiją na pal. Ciągle te sobacze wieszcze rymy — psiakrew!

II Czeladnik. Tu — podbijaj — pier go — wal — zakrzyw. Tu but ! O, buty, buty — jakieście pikne! Zabucione światy! Cały świat zabucim — zapracujem, zagwazdrzem — wszystko jedno. Więzienie, nie więzienie — pracy nikt się nie oprze. Praca to cud najwyższy, to metafizyczna jedność wielości światów — to absolut! Zapracujem się na śmierć, aż do żywota wiecznego — może! Kto to wie, co w takiej pracy, jak nasza, na dnie jest!

I Czeladnik. Wszystko we mnie dygoce, jak w jakiej turbinie na milion koni i klaczy parowych. Dziwek nie trza, piwa nie trza — nie trza radia, kina i pajęczarzy umysłu wszelakich! Praca sama w sobie — oto jest cel najwyższy — *Arbeit an und für sich!*[73] Bierz, wal, dratwę wlecz — kłuj! Buty, buty — powstają, wyłaniają się z nicości butowego prabytu, z wiecznej czystej idei buta, tkwiącej w otchłani idealnej, pustej jak sto milionów stodół. Kuj, kuj — okute buty nie drą się — to jest prawda, i to absolutna. Tyle jest prawd, ile butów i tyle pojęć buta, ile wynosi liczność alef jeden! Boże — daj tylko tak do końca. Dziwek nie trza — *Arbeit an sich* — to w serce jakby sztych. Piwa nie trza — niech nikt mi mózgu już nie przewietrza. Szczęścia idzie z flaków własnych tajny nurt — idzie furt[74]. Ręczna buciornia wali jak piekło, co wszystko już z nas wywlekło — a nie nastarczy butów dla całego świata na hurt — nędzny wiersz — ale nie o to chodzi: but się rodzi, but się rodzi!!

Scurvy. Wisz go! — stworzyli nową metafizykę. Irenko, to niebezpieczna bomba — to pocisk nowej marki z nieistniejących zaświatów. Ja, Irenko, ja się pierwszy raz w życiu boję. Może to naprawdę „święci się” — mówię to w cudzysłowie — nowa epoka — tak: święci się — „święć się, święć się, wieku młody” — tak pisano dawniej. (*Ogłupiały zupełnie*.)

Księżna. Ja się nasycam cudownie ich złudną radością w męce najwyższej — w ich męce, nie mojej — tym ich bezprzykładnym dureństwem — sycę się jak niedźwiedź leśny miodem. My, dwa mózgi w istocie zbrodnicze, złączone płciowym uściskiem, bez pośrednictwa innych przyrządów...

Scurvy. Ale tak nie będzie, tylko tak nie będzie? Co — nie będzie? Będzie wszystko? Powiedz, że tak, powiedz, że tak, bo umrę.

Księżna. Może dziś poznasz całą moją nicość — może...

Tamci ciągle mruczą i sapią, pracując bez wytchnienia.

Scurvy. Patrz — coraz dziczej pracują. Tu spełnia się nareszcie coś naprawdę strasznego, czego nie przewidzieli żadni ekonomiści świata. Patrz, kochanie moje: ja umrę, dziś już nie chcę nic poza tobą.

Księżna. To tak się mówi — dopiero dziś zaczniesz żyć naprawdę. Ale co kogo to obchodzi? Czuję małość wszystkiego. Ach — gdyby tak wypełnić sobą świat i zdechnąć choćby pod płotem zaraz potem.

Scurvy. Artystyczne problemy — precz z tym parszywym nienasyceniem formą i treścią. Patrz: dzika, a raczej udziczona praca wydzielona jako czysty instynkt pierwotny, jak instynkt żarcia i płodzenia. Uciekajmy stąd, bo ja oszaleję po prostu.

Księżna. Patrz w moje oczy.

Scurvy (*jak do dziecka*). Ależ kochanie, trzeba wstrzymać tę nawałę pracy za jaką bądź cenę, bo to jest naprawdę niesamowite i oni naprawdę — jeśli ta psychoza się rozprzestrzeni — rozwalą świat i zniszczą wszelkie sztuczne zastawki i spod zgniłego ścierwa idei-nowotworów wyciągną biedną, skarlałą ludzkość, na pośmiewisko małp, świń, lemurów i gadów — niezdegenerowanych gatunków naszych przodków.

Księżna. Po co gadasz, do cholery ciężkiej?

Scurvy. Biedaczką, biedaczką straszną jest ludzkość! Myśmy się ponad nią wyeliminowali na tę jedną sekundę wyższej świadomości naszej osobowej nędzy i bezcenności naszych uczuć i w tej jednej niepowrotnej chwili musisz jedność stanowić ze mną, kanalio!! (*Całuje Księżnę i gwiżdże na palcach; wpadają te same Pachołki Gnębona Puczymordy, co w akcie I; syn Sajetana na czele*.) Brać ich! Rozdzielić po leniwniach! Nie dać im robić nic! Ani mru-mru — bo to najgorsze, nieznane niebezpieczeństwo ludzkości. *Arbeit an sich* — to kołek pośród szprych. Żadnych narzędzi! — rozumiecie — choćby zawyli się na śmierć.

Pachołki rzucają się na szewców. Straszliwa walka, w której Pachołcy, zarażeni, zaczynają też pracować: po prostu uszewczają się. Sajetan pada w objęcia syna i pracują razem.

Scurvy. Patrz, pieszczotko — to okropne. Uszewczyli się. Moja gwardia nie istnieje. To się wyleje na miasto i wtedy caput[75].

Księżna. Zupełnie zapomniałeś o mnie…

Scurvy. Sam Gnębon Puczymorda nie pomoże — jego pachołki wciągnięte w to jak w tryby jakiejś piekielnej maszyny… On sam zapracuje się na śmierć, podpisując bumag[76] nieskończone zwoje…

Księżna. Ale to wspaniałe tło dla tej naszej pierwszej i ostatniej nocy — naszej — moje biedne Scurviątko! *Di doman non c'e certezza*[77]! Jutro już może będę już „ichnia" — mówię to w cudzysłowie, a ty w loszku będziesz gnił — taki biedny, zgnojony zgniłek. Ale z tą właśnie myślą w środku, z tym poczuciem ostatniościo-razowości, będziesz dziś dość szalony, aby mnie rozpalić jako gwiazdę najpierwszej wielkości na całym samiczym firmamencie podziemnych światów wielkiego Cielska Bytu.

Scurvy. Potwornie wpadłem.

Tamci bełkocą, oczywiście w pauzach, gdy nikt nie mówi.

Szewcy i pachołki. Wal, szyj, kłuj, sturba jego suka; but sam w sobie!

Sajetan. But jako abso-lut! (*z nieprawidłowym akcentem na ostatnią zgłoskę*) Czy rozumiecie tej chwili cud? To wielki symbol jest but — przekory wszelkich złud!

Scurvy (*do Księżnej*). To bycze — to nie jest wcale tak głupie, ten cały symbolizm, wiesz? I wiem, że ginę, ale się przed tobą nie cofnę. Chyba że mógłbym cię zaraz — o tu, w tej chwili — zabić. A taka szkoda by była, taka szkoda — tego ciałka, tych oczu, tych nóżek — i tych chwil nieprawdopodobnych.

Księżna. Chodź więc — sturba twoja suka. Takim chciałam cię mieć, na tle tego piekła pracy samej w sobie. Skąd, u cholery, czerwony blask?

Czerwony blask rzeczywiście zalewa scenę. Scurvy i Księżna wybiegają na prawo. Praca wre jak szalona.

AKT TRZECI

Scena z I aktu, tylko bez kotary i okienka. Półkoliste zakończenie pierwszego planu, jakieś jakby planetarne. Został tylko Pień, na którym palą się latarki sygnałowe (?) czerwone i zielone. Podłoga wysłana wspaniałym dywanem. W głębi, w dole, nocny pejzaż daleki — światełka ludzkie i księżyc w pełni. Sajetan we wspaniałym kolorowym szlafroku (broda ufryzowana, włosy uczesane), stoi na środku sceny, podtrzymywany przez Czeladników, ubranych w kwieciste Pidżamy i uczesanych z rozdziałkami na glanc. Na prawo, ubrany w skórkę psią czy kocią (ale cały, z wyjątkiem głowy, jest w skórze, a na głowie ma kapturek z różowej włóczki z dzwoneczkiem), do pnia na łańcuchu przywiązany, śpi, zwinięty w kłębek jak pies, prokurator Scurvy.

I Czeladnik (*śpiewa ohydnym samczym głosem*).

Słyszę w sobie dziwny śpiew.
To tak śpiewa nasza krew.
Chamska, dzika i śmierdząca,
Ale za to tak gorąca.
Że jej wszystko, ach, przebaczą,
Jeszcze po niej, ach, zapłaczą!

II Czeladnik (*śpiewa tak jak I Czeladnik*)

Czerwień się pieni w chmur przezroczu,
Wśród wichrów nagie tańczą drzewa,
Coś w mojej duszy samo śpiewa
I nie pamiętam już twych oczu.

I Czeladnik. Czyich, czyich?

Sajetan. Dobrze, dobrze. Dajcie pokój już tym śpiewkom, bo rzygać się chce. Teraz rozumiem wszystko: pędzi to życie wewnętrzne jak lawina, jak stado afrykańskich — koniecznie — gazel koło mnie. Za wszystkie czasy przeżywam wszystko, ja, starzec nad grobem się chwiejący. Wziąłem przyśpieszony kurs życia, w całości, licząc od jakiegoś siódmego roku życia, i we łbie mi się wprost przewraca. Nie wierzyłem, żeby takie zmiany w tak krótkim czasie w człowieku tak jako ja skonsolidowanym, wicie, zajść mogły.

I Czeladnik. Ho, ho!

II Czeladnik. Hi, hi!

Sajetan. Na miłość boską, tylko nie róbcie tych sztuczek z tak zwanego „nowego teatru”, bo się tu oto przed wami na te dywany wyrzygam i koniec. Wracając do poprzedniego: wytrzymać istnienie bez obłędu,

rozumiejąc choć trochę jego esencję, bez zatumanienia się religią czy społecznikostwem, to nadludzkie już nieomal zadanie. Cóż mówić o innych! Jestem jak pluskwa opita zamiast żywą krwią burżujską mieszaniną soku malinowego idejek i witryoleju[78] codziennego kłamstwa.

I Czeladnik. Cichojcie, majster — zasłuchajmy się w dobrobyt wewnętrzny, w ten komfort bytowania swobodnego w swej własnej psychice jak w futerale — hej!

II Czeladnik. Czy to tylko nie złudzenie, że my naprawdę nowe życie tworzymy? Może się tak łudzimy, aby ten komfort właśnie usprawiedliwić. A może rządzą nami siły, których istoty nie znamy? I jesteśmy w ich rękach marionetkami tylko. Czemu „mario” — a nie „kaśko-netkami”? Ha? To pytanie z pewnością minie bez echa, a i w nim coś z pewnością jest.

Sajetan. Pewnikiem jest. Ale nie będę cichoł, gnizdy jedne. Ja tę myśl twoją, drugI Czeladniku tak zwany, a teraz obecnie, aktualnie, Jędrzeju Sowopućko, pomocniku samego głównego twórcy nowego... e, nie bedem sie ja w tytuły bawił, moiściewy: ja ta powiadam, myśl twoją jużem miał i chwytem świadomej wolim ją pokonał. Nie trzeba wątpić tak — to dawne narowy nasze z lat nędzy, upodlenia i ubytku rozumu. Tera je mamy nadrobić, a nie dziamdziać się mędrkując, czy abyśmy nie som jako te siedemnastowieczne wolumpsiarki jakieś, fałszywego wewnątrz wątpiów naszych pokroju kompromisowego kaleki — komunizujące, niedoburżujskie ścierwantyny, ślizgające się niezręcznie na posadzkach wyświechtanych demokratycznie. I do kupy zasmrodzonej z tymi wiarami w tajne siły i organizacje, masońskie i inne — to reszta religii i magii w nas się kołace. Ale ten będzie chłop, co się standardu swego życia wyrzeknie, zamiast go podnosić bez końca, aż do pęknięcia. Że też wszystko w historii pękać musi, a nie na smarach rozumu gładko się w przyszłość przesuwać: prawo nieciągłości...

II Czeladnik. Aż boli od tego gadania, purwa jej sucza maść! Aleście się, majster, zmienili: tego nie zaprzeczycie. A kierunek zmiany tej jest taki sam jak mojej, chociaż jakościowo to różne zmiany są. Czy to nie prawda, co mówił były prokurator, żeśmy tacy, bośmy po tamtej stronie, i że jak na tę przejdziemy, to się staniemy jak oni. A siły tajne i ludzie tajni są, tylko jakościowo od jawnych się nie różnią — taka je różnica czasów — hej!

Sajetan. To pozory są ino zewnętrzne, na tle gwałtowności przemian społeczności naszej.

II Czeladnik (*spokojnie*). Czy nie moglibyście wyzbyć się tego sobaczego z chłopska staropolsko-proroczego napuszonego sposobu gadania, a nade wszystko ilości samych słów?

Sajetan (*spokojnie, twardo*). Nie. I jako Lenin, jako sługa klasy, różnił się mimo całej morowości indywidualnej od Aleksandra Wielkiego, który osobowym fantastą potęgi był, tako ja się różnię od tego psa! (*wskazuje na śpiącego Scurvy'ego*) A zresztą nie czas gadać — robić trza — samo się nie zrobi, psia ją mać tę rzeczywistość po trzykroć — e!! Skończyły się

rozkoszne czasy idej — co to, wicie, można było majonezy żreć, a bolszewikiem ideowym być, aby się w nędzy ostatniej tymiż ideami na glanc pocieszać, że to niby kimś się, w ekskrementaliach gnijąc, mimo wszystko jest. Nowej idei nie wymyśli już nikt — nowa forma społecznego bytu sama się wytłamsi, wyiskrzy, wyflancuje z dialektycznej zgagi wszystkich bebechów tego kotła ludzkości, na którym, na samym doparniku, przy samej klapie bezpieczeństwa, siedzimy my — dawne sflądrysyny dudławe, a teraz twórcy ino że nie radośni, psia ich suka zaskomrana.

Czeladnicy (*razem*). Nas tak znudziły te przekleństwa, że chyba zaczniemy wyć. Kuler lokal[79], psiakrew. Mówimy razem intuicyjnie jak jeden mąż — możemy tak mówić wciąż.

Sajetan. Dajcie spokój, na Boże miłosierdzie. Dosyć tego, dosyć...

Scurvy (*przez sen przeciągając się, po paru pomrukach*). Szewcem byłbym z rozkoszą do końca dni moich. O, jakże złudne są te wyższe tak zwane wymagania od siebie: prowadzą na wyżyny, z których się potem na zbity łeb wali w samo dno upadku. Ach — a potem wypłynąć na wielkie, niebotyczne chyby, na wielkie hupcium-ciupcium — *ein Hauch von anderer Seite* — powiew z tamtej strony. Metafizyka, którą pogardzałem dotąd, wali teraz na mnie ze wszystkich zakamarków bytu. *Au commencement Bythos était*[80] — otchłań chaosu! Cóż za cudną i niedościgniona rzeczą jest chaos! Nie poznamy go nigdy jako takim, mimo że świat jest chaosem, naprawdę w istocie swej jest. Chaos! Chaos! A na naszych nędznych odcinkach uspołecznionych bydląt zawsze się jakiś porządeczek statystyczny zrobi. Ach — co za szkoda, że nie rozwijałem mego umysłu przez odpowiednią lekturę filozoficzną — teraz za późno — pojęciowo temu rady nie dam.

Szewcy nasłuchują. Podczas wywodów Scurvy'egoI Czeladnik podchodzi doń wziąwszy z ziemi ogromną siekierę, co mu ausgerechnet pod jego nogami cała złota leżała.

II Czeladnik. Gdzie pełzniesz, ścierwo zatracone, chrówno sobacze?

I Czeladnik. Zakatrupić go we śnie. Niech się nie męczy. Za piękne se, jucha, sny wyhodował. *Ausgerechnet*[81] mi tu leżała siekiera — cała złota — hehehe...

Itd. i dalej, śmieje się za długo, wywodząc trele śmiechowe aż do zdechu niemal.

Sajetan (*grozi mu ogromnym mauzerem, który wydobył ze szlafroka*). Za długo się śmiejesz wywodząc te twoje trele aż do zdechu. Ani kroku dalej! (*I Czeladnik zawraca*). On tu musi się zawyć na śmierć z pożądania w naszych oczach zachwyconych mścicieli żądzy.

Od strony miasta trochę z prawej strony wchodzi Księżna, ubrana w strój spacerowy, żakietowy.

Księżna. Załatwiłam sprawuneczki. Wszystkie intymne rzeczułki mam tu w woreczku, ze szminką i innymi rupiećkami. Taka jestem kobieca, że aż wstyd, aż śmierdzi po prostu z lekka czymś takim, wicie, bardzo nieprzyzwoitym a powabnym. A — nie ma nic ochydniejszego, przez ch, jak kobieta, jak mówił słusznie pewien kompozytor, i w tej ochydzie najbardziej milutkiego, (*wali z całej siły rajtpajczą Scurvy'ego, który z dzikim kwikiem zrywa się na równe cztery nogi, potem najeża się i warczy*) Wstać mi tu w tej chwili do tego całego burdygielu, skorkowaciały, spurwiały mózgu. Będę jadła móżdżek pański posypany bułeczką najwyrafinowańszej męki. A tu masz proszek, który ci da nieskończoną wytrzymałość erotyczną, abyś nigdy zadowolenia nie doznał.

Rzuca mu proszek, który on zjada zaraz, po czym zapala papierosa i pali odtąd ciągle prawą łapą. Nie wstaje już ani razu na dwie łapy.

Scurvy. Do Babilonu z tą szatanicą! — z tym wcieleniem Supra–Bafometa, z tą cycastą Cyrce, z tą paraberą rejentalną, z tą...

Połyka drugi proszek, który daje mu Księżna. Ona „kuca", jak to mówią, przy nim, a on kładzie jej głowę na kolanach, wywijając przy tym zadem.

Księżna (*śpiewa*)

Słodko, ach, o mnie śnij, pieseczku
Nie wstaniesz już na łapki dwie!
Tak cię zamęczę słodko po troszeczku,
Taki się zrobisz, że aż bardzo „fe".
I nigdy nie będziesz mnie miał,
A mózg twój to będzie wprost jak czyjś kał —
Nawet nie twój własny —
W tym będzie urok straszny!

Gładzi Scurvy'ego. Scurvy zasypia mrucząc.

Scurvy. Przeklęte babsko — jakież cudowne życie było przede mną, nim ją poznałem. Trzeba było usłuchać rad tych przeklętych homoseksualistycznych snobokretynów i wyzwolić się od kobiecości — „bo krew i żmija kobiecości głodna tuczą błękitnych oprawców zachwyty". Och, och — jak przezwyciężyć ten przeklęty, potworny, nieugaszony żal! Ja się wprost chyba na śmierć zapożądam czy co?

Księżna (*gładząc go*). Otóż to, otóż to. (*spoglądając na obecnych*) To mówię właśnie tak gładząc go, tak jak trzeba, gdy się chce komuś przychylić nieba, (*do Scurvy'ego*) O to chodzi, pieseczku mój, kundelku złoty — bez tego nie mam już na nich ochoty.

Scurvy zasypia.

Sajetan. Czyż już ten przeklęty brak idei będzie trwać do końca istnienia? To straszne, ta pustka i ta masa nieprzebrana pracy realnej przed nami, pracy nie prześwietlonej żadnym, nawet najmniejszym, pojęciowym złudzeniem! Wicie, co wam powiem? — to jest wprost straszliwe: lepiej było szewcem śmierdzącym być i idejki mieć, i sobie słodko w tym smrodku o ich spełnieniu myśleć, niż teraz w tych jedwabiach u szczytu lokajskiej władzy — bo lokajska ona jest, sturba jej suka. (*tupie nogami — dalej prawie z płaczem mówi*) Zakasać łapy po szyję i pracować czystotwórczo społecznie. To nudne jak cholera! A życia już użyć nie mogę — nie odśmierdzę ja już tych zaśmierdziałych lat moich. Przed wami jeszcze cały świat! Wy po pracy możecie jeszcze żyć — a ja co? Zachlam się chyba czy zakokainizuję, czy co u czorta zatraconego? Nawet kląć mi się nie chce. Ja nikogo nawet nie nienawidzę — ja nienawidzę tylko siebie — o zgrozo, zgrozo; na jakież urwiska i wiszary duszy przywlekła mnie ta ambicja podła bycia kimś na tej ziemiczce świętej, kulistej a niepojętej!

Księżna. Tragedia dosytu dostałych dostawców szczęścia dla ludzkości! Świat, mój Sajetańciu, jest stekiem bezsensu walczących potworów. Gdyby się wszystko nie pożerało, bakcyle jakieś tam pokryłyby w trzy dni ziemię na sześćdziesiąt kilometrów grubą warstwą.

Sajetan. A ta znowu to samo, nikiej papagaj[82] jaki sztucznie wyuczony. Już my to znamy. Tu, moja pani, ni ma czasu na wykładziki jakieś popularne — tu jest prawdziwa tragedia. O, kiedyż, kiedyż zapomni indywiduum o sobie w doskonałej maszynie społeczności? O, kiedyż cierpieć wreszcie przez swą samoosobowość, wiecznie w nicość jak zadek jaki transcendentalny wypiętą i wypuczoną, przestanie — zostają jedynie narkotyki, jej Bohu!

I Czeladnik. Słuchałem dotąd cierpliwie was, nędzny człowieku, przez wzgląd na wasz wiek — ale nie mogę już.

II Czeladnik. I ja też nie mogę, do chapudry girlastej!

I Czeladnik. Dość! (*do Sajetana*) Wyście, majstrze, mimo zasług, pryk starej daty — nic wam do naszego młodego życia. My nie nawóz jako wy — my sama jądrowatość przyszłości. Mówię źle, bo natchnienia nijakiego ni mom — niech se samo gada we mnie, jako chce. Otóż com kcioł rzec: wy tylko nas zniechęcacie tą całą waszą, do kupy starej, niepotrzebną, zafirkaną analityką, której narzędzia jeszcze burżujskie lokajczyki, Kant[83] i Leibniz, stworzyli. Wont z tym jednym z drugim na przechwistany dymulec — hej! hej!

Sajetan. A cichajcie se, janiołowie niebiescy! A dyć to je dialektyka pirsej wody kublastej. A to jezdem zdumiony w najwyższym stopniu! Więc to ja mam iść precz, jak ten zużyty gwint, jako wytarty burżujski puffon, jako złamany czy wykruszony bideton jaki? Coo?

II Czeladnik (*stanowczo*). Tak, macie. Zaplugawił się wam język tym burżujskim plugastwem na glanc. Już nawet gadać nie potraficie, jako trza. Kompromitujecie ino rewolucję.

Sajetan. Ludzie na świecie! Co ja przeżyć muszę!!

I Czeladnik. Cichajcie! — Już ja wiem tera, jaka mi to intuicja tę złotą siekierę *ausgerechnet* tu rzuciła. Zakatrupimy was jak ofiarnego byka. Wciornasci, mnie suka ścierwo mierzi! Bede walił, bede kopsał! Jędrek — trzymaj kaftan!! (*Zrzuca piżamową kurtkę*.)

Księżna (*bardzo, wyjątkowo arystokratyczna*). Ależ brawo, Józek! To mi idea dopiero jak psu igła kocia z wielbłądziego worka. Nie wiedziałam, że się aż tak ubawię. Tylko długo konajcie, Sajetanie — ja to tak lubię, wicie, moiściewy. Ja wam pokażę, jak trzeba bić, aby rana była śmiertelna, a konanie nieco przydługie — hehe.

II Czeladnik. Nie podniecaj mnie, babo, gadaniem takich rzeczy do czarnego szału, bo...

Księżna (*łagodnie*). No, cicho, Jędrek, cicho.

I Czeladnik. No, majster, gotujwa się na śmierć czy jak tam, czy tu — zabyłek se po szewsku gadać. Równo stać!!

Mówi to jak komendę wojskową.

Sajetan. Ależ, Jędrzeju drogi, kochany czeladniku pierwszy, przecież to nonsens nad nonsensami będzie i plama na nieskalanym ciele naszego przewrotu, prawie że niepokalanie poczętego. Ja już bez żadnych pretensji będę żywą mumią, takim dobrym wujciem, nawet nie ojcem rewolucji. Nie będę gadał nic — będę siedział se w szafie jako zabalsamowany symbol. Będę milczał jak mysz do kwadratu pod czterema miotłami — staram się tu was udobruchać dowcipem — ale coś mi się widzi, że to udobruchanie nie idzie mi dobrze, choć Boy przecie całe społeczeństwo względem siebie tyle ciężkich lat tą metodą dobruchał i do swego się wreszcie, sturba jego suka, dodobruchał. Przysięgam na wszystko, co święte, że stulę pysk jak różę wielolistną i wonną — tylko nie bijcie, na dobrosierdzie Boże!

II Czeladnik. A co dla cię święte, dziadu, jeśliś ty, przez długi ozór twój, nam złudzenia najistotniejsze — nie złudzenia, co mówię? — bodaj mi ten ozór usechł! — jądra naszego światopoglądu twą mroczną dialektyką starczej pustki, dokonanego na marginesach istnienia żywota, wyekstyrpować łacnoś chciał? Co?

Sajetan. Zżymam się na samą myśl...

I Czeladnik. Zżymaj się se do woli nikiej wyżymaczka jaka, nic ci to nie pomoże. Mów se burżujskie modlitwy. Nie mogłeś dalej wodzem

żywym być, boś się wyprztykał przedwcześnie przez te przeklęte papirusy i gadanie bez nijakiego pomiaru, to będziesz świętą mumią, ale martwą, kocie! Wtedy my te resztki twej siły zeskamotujemy i stworzymy mit o tobie: a nie damy ci się rozłożyć za życia na oczach tłumu w takie chówno sobacze — to pochodzi od „chować się" — twoja siła musi być w porę zamagazynowana, ale na trupie, kochanie, żebyś się nie zdążył skompromitować — i nas też. Skoroś do końca nie umiał żyć jako inne wielgie — i wielgaśne starce historii świata, to porządek z tobą zrobiony być musi. Dawaj łeb, majster, i nie traćwa czasu na gadanie.

Sajetan. Skąd on wie to wszystko, ten smarkul zamirwiony? Ja już naprawdę nie będę mówił niepotrzebnych rzeczy. Chciałem się wam pozwierzać znad samego brzyżka grobu, jak ludziom, a oni zaraz siekierą by przez łeb człowieka zdzielić gotowi.

Ktoś od tyłu, niewidzialny, zawiesza kotarę, jak w akcie I.

Księżna (*lubieżnie, ucieszona*). O, tu: w *epistropheus*[84] — potem będzie Sajetancio jeszcze dużo, dużo gadał — a ja to tak lubię — to lepsze niż yohimbina[85]! Dzielcie go!

II Czeladnik. I zdzielim — jak nam dziwki miłe. Nie jest to najsympatyczniejsze zaklęcie świata, ale co robić.

Nagle z lewej strony słychać granie na harmonii i zaczyna się coś tłoczyć spod kotary.

I Czeladnik. Kiz dziadzi? Nikt tu już nie miał przyjść wieczorem! Dziwki z „Euforionu" na tańce i rozpustę zamówione były na trzecią w nocy, po fajerancie.

Tłoczą się chłopi, stary Kmieć i młody Kmiotek, pchając przed sobą olbrzymiego chochoła — za nimi Dziwka wiejska z dużą tacą. Stroje krakowskie.

Scurvy (*przez sen*). I nigdy nie zagrać już w brydżyka — nie móc nigdy mówić z tym poczuciem urojonej ważności: trzy kier lub kontra, nie pójść na kawusię do „Italii" i nie popatrzeć nawet na dziewczątka słodkie i na nią też, nie poczytać już nigdy „Kurierka" do łóżeczka i nigdy, nigdy nie zasnąć! To straszne — ja tego nerwowo wprost nie wytrzymam! — tego nikt nie chce pojąć!

Nikt go nie słucha, wszyscy wpatrzeni w grupę na lewo.

Kmieć (*śpiewa*).

Z głupim człowiekiem nie warto gadać.
Więc stulcie pyski i proszę siadać!

Kmiotek (*podśpiewuje do niego, ukazując go obecnym palcem wskazującym*).

A gdyby przypadkiem zechciał odpowiadać.
To dać mu w mordę i wprost nie dać gadać.

I Czeladnik (*z zaciśniętymi zębami*). Obyście w złą godzinę tego nie wypowiedzieli, wiejskie chamy, krnąbrne i konserwatywne, czyli tak zwani kmiotkowie narodowi. W zęby wam się zachciało? Cooo?

Kmiotek (*„buńczucznie”*). Mimo to, w przeświadczeniu głębokim o wielkiej misji naszej po upadku szlachetczyzny i wylęgłej na niej potworkowatej, nowotworowej arystokracji naszej — że niby się arystokratycznie w kratkę odziewali i z angielska nosili...

Księżna. Co za przestarzałe dowcipy à la Boy i Słonimski[86]! Taż to już cuchnie, panowie, jak rybka w bufecie trzeciej klasy w Kocmyrzowie. Do rzeczy, kmiecie niemrawe, a pyszne i buńczuczne!

Kmieć. Obyś, jasna pani, nie pożałowała markotnie słów tych butnych a junackich nie w porę.

Księżna. Stul pysk, chamie, bo się wyrzygam z niesmaku. Lechoń[87] byłby niezadowolony, że tak mówię, bo on zna tylko księżne z fajfów w Em-es-zecie! A ja jestem taka i będę, chełbia wasza wlań świecąca.

Sajetan (*władczo*). Dość kłótni! Dzięki wam, kmiecie w pseudoszlachcickich ambicyjach znieprawione, odzyskałem utraconą pozycję i zawrę z wami pakt nieomal iście książęcy. Swobód pańszczyźnianych negować wam nie myślę. Musicie stworzyć dobrowolny zbiorogosp, z akcentem oczywiście na ostatnią sylabę...

Kmieć (*rozstawiając ręce*). Nie rozumiemy cię, panie. My tu przyszli z dobrą wolą, jak równy z równym gadać; bo chłop na zagrodzie zawsze w modzie, mocium panie tego, a każda morda dobra jest do korda[88], a z dobrego pługa nie zrobisz, asińdziej[89], kańczuga[90].

I Czeladnik. Zacofane plemię — jakbym jakieś echa ślachcickie, sienkiewiczowskie jeszcze słyszał. Oni się dopiero uślachcają — taż to skandal — przekładaniec ewolucyjny anachronicznych warstw pirszej klasy.

Kmiotek. Będę się streszczał: my tu przyszli z chochołem samego pana Wyspiańskiego, z którego idei nawet faszyści chcieli zrobić podstawę metafizyczno-narodową ich radosnej wiedzy o użyciu życia i użyciu państwa dla celów samoobrony międzynarodowej koncentracji kapitału, a także...

Sajetan. Milcz, chamie, bo dam w pysk!

Kmiotek. Nie dałeś mi pan skończyć i wyszedł krwawy nonsens à la

Witkacy. Ja znam waszą krytykę… e, co tam! Śpiewajmy lepiej — przez muzykę pojmą nas — no:

Przyszli my tu z tym chochołem
I z tym sercem naszem gołem.

Dziwka (*wysuwa się na pierwszy plan z tacą, na której dyszy wolno wielkie jak u tura serce — mechanizm zegarowy*).

Mówić chcemy po wyspiańsku,
A nie nowocześnie drańsku.
Z nami jest ta „dziwka bosa”

Ino teraz się obuła dla przyzwoitości, bo jakże tak między ludzi boso — wicie — haj!

(*śpiewa dalej*)

Co świat cały zbawić miała.
Ja kosynier — moja kosa
To jest siła moja cała.

I Czeladnik. Przebrzmiałe symbole! Dziwek bosych mam, ile chcę, ale to są najładniejsze tancerki kraju i z ich nogami mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Księżna (*zrywa się gwałtownie i zrzuca pantofelki i pończochy; wszyscy patrzą i czekają*). Ja mam najpiękniejsze nogi na świecie!!

Scurvy (*budząc się — wyrżnął łbem w podłogę*). O, nie mów tak! O czemuż, czemuż zasnąłem, nieszczęsny! Obudzenie się każe mi całą mękę przeżywać od nowa! Wyrażam się górnolotnie, bo nic już do stracenia nie mam — nie boję się nawet śmieszności.

Sajetan. Cicho tam, szumowiny! — tu są ważniejsze rzeczy niż wasze nogi i zwierzenia, (*do kmiotków*) Więc co dalej?

Kmiotek. Śpiwajma chórem (*śpiewają chórem*).

O lo Boga, lo świentego,
Coby nic nie było złego,
O lo Boga, lo świentego,
Coby nic nie wyszło z tego.

(*do Dziwki*). *Śpiewaj à tue-tête*[91], dziwko bosa, tymczasowo tylko obuta.

Dziwka (*głosem skrzeczącym à tue-tête*).

O lo Boga, lo świentego,
Coby nic nie było z tego.

Kmieć stary.

O na ten tryjant Boży
Niech nam kto we łby włoży
Mądrość, jaką się da,
I dalej w nas ją pcha!
Cha, cha!

Sajetan (*strasznym głosem*). Gnizdy jedne, wont!!

Wszyscy trzej rzucają się na chłopów i wyrzucają ich. Tamci uciekają w popłochu, pozostawiając stojącego chochoła na lewo. Chochoł powoli się wywraca i leży. Słychać okrzyki takie, jak: Wspomagaj Bóg! Ludzie na świecie! Wciórnaści! Rany Boskie! Kiz dziadzi! O, Jezu!!! itp., bez liku. Sajetańczycy pracują nad chłopami w milczeniu, sapiąc tylko ciężko. Ledwo wrócili na środek sceny. I Czeladnik krzyczy, nie zwracając uwagi na słowa Sajetana. Sajetan wracając powoli i sapiąc Tak to załatwiliśmy kwestię chłopską — haj!

I Czeladnik (*krzyczy*). Na środek sceny, na środek! Do dzieła! Publika nie lubi takich intermezzów, zagwazdrany jej wszawy gust.

II Czeladnik. Wal go! Pier go! Niech stare ścierwo wie, po co żył! Męczennik, pludra jego cioć!!

Sajetan. Więc to tak rozżarliście się na tych kmiotkach? Więc jak to, gnizdy jedne, więc ani na jotę czy aragońską „chotę" — a pisze się po burżujsku przez j, a wymawia jak ch — co ja plotę, nieszczęsny, na krawędzi najgorszego — więc ani na tę jotę zaklajstrowaną nie zmieniliście waszych nikczemnych zamiar... Uuuuuuuu!!!

Dostaje w łeb siekierą od I Czeladnika i wali się z wyciem na ziemię... Czeladnicy i Księżna układają go na worze baranim (*jak w Izbie Lordów*), *co leżał od początku na pierwszym planie, czort wie po co. Czynią to, aby Sajetan mógł swobodnie się przed śmiercią wygadać. Przed nim na stoliczku* (*który też tam stał*) *leży dychające serce na tacy.*

Księżna. Tu, tu go ułóżcie, mówię wam, aby gadać mógł swobodnie i mógł się godnie wypróżniająco przed śmiercią wygadać.

Wpada Fierdusieńko.

Fierdusieńko (*z walizą w ręku*). Idzie tu, jak pochód nieszczęścia po prostu, jakiś straszny nadrewolucjonista, jakiś hiperrobociarz wprost — to pewnie jeden z tych, co naprawdę rządzą — bo te kukły (*wskazuje na szewców*) to komedia ino. Ma bombę jak sagan i handgranatów[92] całą kupę i grozi tym wszystkim każdemu, a swoje życie ma tam, gdzie w ogóle

nie trzeba mówić, i tego — co to ja chciałem powiedzieć…

Księżna. Bez głupich witzów! A kostiumy Fierdusieńko ma? To najważniejsze…

Fierdusieńko. A jakże — tylko nie wiem, czy za chwilę nie wylecimy wszyscy w powietrze. (*Straszliwe kroki za sceną — facet ma ołowiane podeszwy*.) Ten robociarz to wyższa marka niż ta dziewka Wyspiańskiego — to żywy, zmechanizowany trup! Nadczłowiek Nietzschego[93] nie narodził się wśród junkrów pruskich, tylko wśród proletariatu, który niektórzy uczeni całkiem niesłusznie uważają za kloakę ludzkości.

II Czeladnik (*do Fierdusieńki*). A ty czego ciągle po lokajsku ubrany chodzisz? Nie wiesz, że teraz je swoboda? Co?

Fierdusieńko. Ee! — Lokaj lokajem zawsze pozostanie, w takim czy innym reżimie! *Wsio rawno*[94]! Zaraz lecimy w powietrze!

Scurvy. Wy możecie uciec — wyście ludzie wolni. A ja? — pół pies, a pół nie wiem wprost — co! Ja oszaleję chyba niedługo — tego się uniknąć nie da.

I Czeladnik. Nie zdążysz, cholero. Bo my ci urządzimy taką śtukę, że zdechniesz z nienasycenia jeszcze na dwa stopnie w morskiej skali Beauforta przed ostatnim cyklonem obłędziku, który byłby rozkoszą wobec tego, co ciebie czeka.

Scurvy (*skomli, a potem wyje*). To są głupie frazesy, a jednak. Mmmm uuu! — Auauuuuuu! Jak boli całe niespełnione życie. Chciałem umrzeć z wycieńczenia jako piękny, wzniosły aż do paznokci u nóg starzec. O życie, teraz wiem, żeś jedno! Puchnie mi wszystko na grubość ręki od tej ohydnej udręki. Teraz dopiero rozumiem tych nieszczęśników, com ich skazywał na śmierć i więzienie — to banalne, ale tak jest.

Straszny Hiper-Robociarz (*wchodząc; bomba w ręku*). Ja należę do NICH. (*szalony nacisk na „nich”*) Jestem Oleander Puzyrkiewicz, któregoś pan skazał na dożywót, panie Scurvy. Alem gracko zniknął. Ja wiem, że to wstrętnie powiedziane, ale języka już nie odwrócę. Pamiętasz, coś zrobił ze mną, sadysto? Mam zgruchotane, zmiażdżone wszystko — rozumiesz? Dosłownie wszystko: wszystkie geny i gamety. Ale duch mój, który jedność z moim ciałem stanowi, jest z byczego surowca, maczanego w płynnej, parskającej stali szmirglowanej. Tu mam bombę, która jest najwybuchliwsza ze wszystkich *hoch-explosiv* bomb na świecie, i krótką mam decyzję jak piorun. Masz za te bombasy moje ukochane niedoszłe, które zginęły przez ciebie, Kafirze[95]! Ja chciałem mieć dzieci! Mówię niesmacznie — trudno. (*Ciska bombę na ziemię. Wszyscy rzucają się na ziemię wyjąc — wszyscy prócz Sajetana. Scurvy zanosi się od pisku dzikiego strachu. Bomba nie wybuchła. Hiper-Robociarz podnosi ją z ziemi i mówi*) Kretyńskie plemię — to jest, wicie, ino taki termos do herbaty. (*nalewa z bomby do pokrywki i pije*) Ale w wojenny czas na bombę łatwo da się zmienić. To taki, wicie, symboliczny kawał w dawnym stylu — nudny jak cholera — aż gnaty z nudy trzeszczą. Cha, cha, cha! To dobrze, żeście się

tak napietrali, bo my tych całkiem nieustraszonych ryzykantów na pseudonaczelnych stanowiskach nie potrzebujemy, a co ważniejsze: nie lubimy. Mówię to czort wie po co, z naciskiem. Może mnie nie ma wcale?

Cisza.

Sajetan (*nie odwracając się w tył mówi do publiki*). Tera bede gadał. Dobrze, żeście mnie zakatrupili, niczego się już nie boję i powiem prawdę: jedna jest dobra rzecz na świecie, to indywidualne istnienie w dostatecznych warunkach materialnych. (*Tamci leżą aż do odwołania*). Zjeść, poczytać, pogwajdlić, pokierdasić i pójść spać. Poza tym nie ma nic — to jest, psia ich ścierwa, pyknicka filozofia. Bo co są te tak zwane wielkie idee społeczne? Oto to, co i w tej chwili powiedziałem, tylko nie dla mnie, a dla wszystkich. Bo o tym czasie, co go można będzie na popularne czytanki poświęcić, to ja mówić nie będę. W robieniu czegoś dla kogoś, w wyrzeczeniu się siebie dla drugich nawet mały człowiek może stać się wielkim, gdy inaczej już nie może. To jest ta wielkość „dla wszystkich" mówię to w cudzysłowie, bo wielkość istotna to ino je w indywidualnym napięciu i w stopniu zginania tym napięciem rzeczywistości: myślą czy wolą uzbrojoną w pięść to wszystko jedno. I tak to w powszechności małość w wielkość przez wspólnotę się zamienia. — Do cholery w ogóle z takim rozumowaniem… (*Hiper-Robociarz podchodzi do niego i wali mu z dużego colta w ucho*. *Sajetan mówi dalej, jakby nic*. *Wszyscy podnoszą się, tylko jeden Fierdusieńko leży dalej*.) I to wszystko niezależnie od tego, czy indywiduum jest osobowym fantastą i maniakiem swojej „n" potęgi, czy sługą i wyrazicielem klasy jakiejś — wszystko jedno jakiej…

Hiper-Robociarz (*do Sajetana*). „Zmieniłeś pan front, Mister Silver" — jak rzekł do tegoż Tom Morgan.

Księżna (*bardzo arystokratycznie*). Wstań, Fierdusieńko — to są symbole tylko — to tylko i jedynie planimetria zbaraniałych mózgów; to tylko entymemat[96] zabójczy, którego jedną premisę[97], tj. ludzkość całą, już diabli wzięli. To tylko… (*Fierdusieńko wstaje i wydobywa z walizy wspaniały kostium „rajskiego ptaka", w który zaczyna ubierać Księżnę: zdejmuje jej żakiet, przerywając w ten sposób dalsze jej wywnętrzania, a potem wkłada tamte rzeczy*. *Tylko nogi pozostają gołe — nad mmi krótka spódniczka zielona, powyżej kolan się kończąca*. *Księżna milknie powoli od tego ubierania, bełkocąc jeszcze chwilkę coś nieartykułowanego*) brhmłbomxykatcznaho…

Hiper-Robociarz. Teraz się zacznie ta nieprzyjemna komedia, jak na dzisiejsze czasy konieczna, której nie wypada mi w niewinności mej życiowej oglądać. Siedziałem czternaście lat w celkowym więzieniu, studiując ekonomię. (*do Czeladników*) Wy dwaj macie osobiste, przypadkowe, drańskie szczęście czy nieszczęście być reprezentatywnymi typami średniego chałupnictwa i jako tacy będziecie władzą

reprezentatywną, dekoracyjną. Urwało się akurat dla was: będziecie z przedstawicielami obcych państw tymczasowo-faszystowskich — ostatnia maska konającego kapitału w najzatęchlejszych zakamarkach tej ziemi — otóż będziecie z nimi jeść langusty i inne firdymułki — potem kule w łby — śmierć bez tortur to i tak wiele. I dziwek, ile chcecie — o wasze mózgi mi nie chodzi.

Gwiżdże na rękach.
Wchodzi Gnębon Puczymorda — potworna foka z wąsami „ślachcickimi", jak wiechcie. Ubrany w polski strój ze złotej lamy. Kołpak z piórem, karabela — to każdego onieśmiela — a buciska te czerwone, oczy straszne, wywalone.

Puczymorda (*mówi poprzednie objaśnienie*).

Kołpak z piórem, karabela —
To każdego onieśmiela.
A buciska te czerwone,
Oczy straszne, wywalone.
Takim jest i takim bede,
Czym jest dziwkarz, czy też pede.
Socjalista czy faszysta.
Jam w tym serze jako glista.

Hiper-Robociarz. To zaraza czysta z tym Wyspiańskim. Siadaj tu, stary durniu, obok tego trupa. Wielkiego Świętego ostatniej rewolucji świata, który dał nam drogę do Najwyższego Prawa przez opanowanie klas średnich proletariatu. On, ten stary, biedny idiota musi być żywym, to jest: martwym symbolem zastępującym nam waszych świętych i wszystkie mity wasze, pseudochrześcijańscy faszyści, coście ponad miarę uwstrętnili komedię waszych pseudowiar.
Puczymorda. Tak — prawdy nie ma — tego dowiódł Chwistek.
Hiper-Robociarz. Milcz, durniu krnąbrny. Materializm biologiczny, jako szczyt dialektycznego poglądu na świat, nie znosi mitów i tajemnic drugiego i trzeciego stopnia. Tajemnica jest jedna: żywego stworzenia i tego, jak inne stworzenia niesamodzielne je składają — ale tylko w nieskończoności ciemnej, złej, bezbożnej.
Puczymorda. Czy nie można choć chwilę obejść się bez tych wykładów?
Hiper-Robociarz (*zimno*). Nie. Tu, na ziemskim skrawku, wszystko jest jasne jak byk farnezyjski i będzie takim do końca świata. (*wychodzi, ale właściwie nie wychodzi: odwraca się i mówi jeszcze*) Gnębon przeszedł na naszą wiarę z przekonania — trzeba jakoś zużytkować to stare guano. Nic nie może być zmarnowane, jak u wstrętnie tak zwanej „skrzętnej gosposi" — brrrr. To nowość naszej rewolucji. Gnębon jest koniecznym momentem

dekoracyjnym w tym persyflażu[98] rządów ziemskich.

Sajetan. Ten moment to nadzieja różnych draniów, że jednak przeżyją umszturc. A ja co? Ja mam zginąć, a te dranie mogą żyć?

Hiper-Robociarz. To pech biletu, któryście wyciągnęli, Sajetanie. Raz trzeba to sobie uświadomić, że żadnej sprawiedliwości nie ma i być nie może — dobrze, że jest statystyka i z tego trzeba się cieszyć.

Wali do niego znowu z colta. Gnębon siada na worze obok Sajetana, wpatrzony tępo krwawymi gałami w publikę. To musi być maska — tego żywy człowiek dać nie może. Fierdusieńko, który przez ten czas skończył ubierać Księżnę, zrzuca mu kołpak i delię i ubiera go tak siedzącego w łachmany i kaszkiet. Łachmany pokryte są białymi punktami.

Puczymorda. A co to to białe?

Fierdusieńko. Wszy.

Scurvy (*zanosząc się wprosi od wycia*). Zanoszę się wprost od wycia za utraconym życiem i szczęściem. Może byś ty, Oleandrze, uczynił coś raz dla mnie? Zemsta szlachetnego marzyciela! — czy ci nie odpowiada ta rola? Spuść mnie z łańcucha! Daj mi pracować uczciwie i poczciwie na jakimś marginesie brudnym byle zaśmierdziałego ochłapu życia. Będę szewcem w ostatniej nędzy — zastąpię tych dwóch upiżamionych łotrów w równowadze społecznej. (*wskazuje łapą Czeladników*) Tylko nie to, tylko nie to, co oni mi tu szykują, te urwipołcie: zawyć się z żalu i pożądania! Au! Au! Auuuu! (*Wyje i łka*.)

Hiper-Robociarz. Nie, Scurvy — co oznacza szkorbut — twoje nazwisko jest symboliczne. Byłeś szkorbutem chorej na przemianę ducha — w analogii do przemiany materii — ludzkości: ty zginiesz właśnie tak. (*do Czeladników*) No, rządźcie ta, rządźcie — my idziemy pracować nad technicznym aparatem, nad aparaturą i strukturą dynamizmu i równowagi sił tego rządzenia. *Good bye*![99]

Puczymorda (*ponuro*). Do widzenia. Nudne to jak scena zazdrości, jak lekcje na jakimś przedszkoleniu, jak wymówki starej ciotki — albo syntezując to porównanie: jak przedszkolenie starej ciotki połączone z wymówkami, a dotyczące robienia przez nią scen zazdrości o drugą ciotkę.

Pojawia się znowu tablica z napisem „NUDA”.

Hiper-Robociarz (*wolno*). Wybambronione! (*Wychodzi, dziko stukając ołowianymi podeszwy*.)

I Czeladnik (*z ironią*). Wybambronione! — Słyszane rzeczy?! Hej!!! Gotować mi się do orgii nocnej. To wszystko blaga, co on tu gadał. Nieskończona drabina tajnych rządów, superpozowanych jednych nad drugimi, nie istnieje! (*do Księżnej*) Ubieraj się, kreczkawa bamflondrygo!

II Czeladnik. Blaga nie blaga, a jednak zabić byście go nie mogli. To

nie wiadomo jeszcze, jak to jest z tymi tajnymi rządami. Może są i w naszej strukturze społecz...

I Czeladnik. Dobrze jest, jak jest! Nie myśleć nic, bo śmierć z przerażenia nad samym sobą czai się zza każdego węgła. Fikcja nie fikcja, a przeżyjemy to życie reprezentatywne inaczej jak oni — czy są, czy ich nie ma wcale. A nudy nie będzie, bo idee, na tle braku zainteresowań filozoficznych u ogółu, wymarły do cna. Hej! Ino smutno jakoś, psiaścierwa! Trza się uchlać. A jak przyjdą dziwki z burżujskiej tancbudy i efeby[100] z Przedmieścia Nieposłusznych Pauprów[101], i ten straszny drań, co mieszka na ulicy Szymanowskiego pod siedemnastym, to się zabawimy — zabawimy i zapomnimy o tym życiu strasznym w bezsensie ostatecznym, najgorszym, bo do cna uświadomionym. O, Boże, Boże. (*pada na ziemię i łka*) Łkam oto jak najęty, a czemu, nawet nie wiem sam. Taki burżujski weltszmerc[102], ciućka jego tango tańcowała. Chrać mi się chce na wszystko.

Księżna też chlipie. Scurvy wyje przeciągle i żałośnie.

Sajetan (*nagle się podnosząc, aż Puczymorda popatrzał na niego ze zdziwieniem*). A co? Takem wstał, że nawet wy, była Puczymordo, popatrzyliście na mnie z pewnym zdziwieniem. Ale mam cel. Oto, nie obślińcie mi waszymi sobaczymi łzami, jak pisał Wyspiański, mojej ostatniej chwili na tej ziemi. Uwierzyłem w metempsychozę[103] — właśnie metem, a nie tam. Uwierzyłem w wielki TAM-TAM i nic mnie śmierć nie kosztuje, bo i tak tu bym już żyć nie mógł.

I Czeladnik. Przeklęty starzec! Niczym go dobić nie można. Plugawi się toto w gadaniu jak młody pies w ekskrementach. *Une sorte de Raspiutę*[104] czy co?

Sajetan. Cichojcie, sucze sadła zjełczałe. Zupełny brak dowcipu i wszelkich pomysłów, psiakrew! (*Pojawia się tablica: "Nuda coraz gorsza", na miejsce poprzedniej, która znika.*) A jednak świat jest nieprzebranym w swej piękności — mówcie, co chcecie. Ździebełko każde, każde gówienko najmniejsze, co życie daje roślinkom, każde splunięcie na tle grozy spiętrzonej wschodnich obłoków w letnie popołudnie, gdy królują z wolna w lewo i prawo, na wypuczonych w zastygłych kształtach wybuchach wściekłości materii martwej, że jako taka żywą być nie może.

Puczymorda. Dość — wyrzygam się.

Sajetan. Dobrze — ale mi ciężko. Każda trawka przecie...

Puczymorda. Szlus, bo rżnę w pysk, jak mi Bóg miły. (*do tamtych*) Jestem kontrolerem dekoracyjnych widowisk propagandowych. Próba generalna ma się rozpocząć zaraz — tancerki przyjdą o trzeciej.

I Czeladnik. Więc to tak? A, niedoczekanie nasze. Ale jak tak, to tak — trudno. Palcem w niebie dziury nie zatkasz. Pypciem purwy nie dobajcujesz do glątwy ostatecznej.

II Czeladnik. O, jak mnie męczy on tym surrealistycznym klęciem bez dynamicznego napięcia.

I Czeladnik. O, to, to — tak straszne jest, że pojęcia bladego przeświecającego nie macie. Jakaś groza, nuda, katzenjammer[105] i ohydne przeczucia. Tak wszystko się jakoś popsuło. (*nuci*) „Jamszczyk nie goni łoszadiej, nam niekuda bolsze spieszyt'."

Pomagają obaj Fierdusieńce w dalszym wykańczaniu ubierania Księżnej, której kostium wygląda tak: bose stopy, nogi gołe do kolan. Krótka, zielona spódniczka, przez którą przeświecają czerwone majtki. Skrzydła zielone nietopezie. Dekolt po pępek. Na głowie stosowany kapelusz, ogromny, włożony en bataille[106]*, z ogromną kitą i piórami: zielonymi i białymi. W miarę ubierania Scurvy wyje coraz głośniej i zaczyna się strasznie wprost szarpać na łańcuchu, po psiemu już zupełnie, ale nie przestając palić papierosów*.

Puczymorda. Nie rzucaj się tak, mój były ministrze, bo jak zerwiesz łańcuch, to cię zastrzelę, jak prawdziwego psa. Ja jestem na ich służbie — ja zupełnie się zmieniłem. Zrozum to, kochasiu, i uspokój się. Mocą transformacji wewnętrznej postanowiłem jeść pulardy, langusty, wermuje i papawerdy zakrapiane oblikatoryjnymi fąframi do końca życia. Jestem cynikiem, aż do brudu między palcami u nóg — przestałem się myć zupełnie i śmierdzę jak zgniła flądra. Chram na wszystko.

I Czeladnik. A co to chrać?

Puczymorda. Chrać to tyle, co zalać coś innym czymś bardzo śmierdzącym. A jako rzeczownik funguje jako śmierdząca flegma ludzi kompromisu — demokratów na przykład: ta chrać, tą chracią, tej chraci i tak dalej.

II Czeladnik. Lepiej zróbmy tak: jak zrobi but w kwadrans, to go puścimy do niej — jak nie, to się zawyje na śmierć.

Puczymorda. Dobra, Jędrek — walcie! To zaspokaja resztki mego zmarniałego już sadyzmu — sam nie mogę nic. (*płacze cicho i sromotnie*) Oto płaczę tu cicho i sromotnie, samotny, choć byłem taki dziki i obrotny... Nawet dobrego wiersza nie napiszę! Taki Tuwim[107] nieboszczyk to się zawsze ostatecznie pocieszył: co by z nim nie było! A ja co? — sirota. Nawet nie wiem, kto jestem — politycznie oczywiście! Życiowo jestem starym błaznem pełnym fazdrygulstwa i gnypalstwa: równa się fastrygowania połączonego z bałagulstwem i gnuśnego gmerania albo gmyrania palcem w tym, czego traktowanie i obrabianie wymagałoby precyzyjnych instrumentów — takim będę do śmierci zachranej.

II Czeladnik (*który słuchał go uważnie*). No to ja poszukam tu naszych dawnych instrumentów między rupieciami — tych resztek niby po naszym pierwszym, rewolucyjnym szewskim warsztacie — chłówno jego mać! A kiedy to było?! Jak było wtedy dobrze. W muzeum ma to być na wieczną rzeczy pamięć. (*szukając w rupieciach*) Aleście gaduła, Puczymordeczko —

może jeszcze większa od naszego Sajetańczyka. My się będziemy tak nazywać: sajetańczycy albo mieduwalszczycy — od tego Mieduwała, co z Beatem Czarnym Piecytą walczył i na jego widok skomlił — co to? Czy mi się coś niesamowitego przyśniło? (*do Scurvy'ego, który skomli jak ostatni Skomli-Aga do warsztatu*) Masz tu, Skomli-Ago — masz wszystko — szyj!

Scurvy zabiera się gorączkowo do roboty, skomląc ze zdenerwowania i pośpiechu. Coraz gorzej skomli i coraz większy płciowy niepokój „maluje się” w jego ruchach, wszystko mu się nie udaje i leci mu po prostu z rąk w najwyższym (*jego*) *podnieceniu erognoseologicznym*.

Scurvy. Coraz większy niepokój płciowy maluje się w ruchach moich skociałego pseudoburżuja. Erognoseologicznie[108] jestem prawie jak święty — turecki, dodaję dla przyzwoitości, bo jestem zaśmierdziały w tchórzostwie, stary tchórz. Muszę skomleć, bobym inaczej pękł jak dziecinny balonik. O, Boże! — ach, za co? ach — ech — czyż nie wszystko jedno za co, byle się raz dorwać i zdechnąć potem natychmiast. Tak mi chrómno jak nigdy jeszcze! Irina, Irina — ty już jesteś tylko symbolem całego życia, więcej: istnieniem w metafizycznym znaczeniu! — czego nigdy nie rozumiałem. Raz się tylko żyje i to zmarnowałem! To oni, skazani przeze mnie, czuli to wtedy, kiedy sznur… O, Boże! Skomlę jak pies na łańcuchu, gdy widzi, węszy — to najważniejsze — przelatujące koło siebie tak zwane słusznie psie wesele wolnych, szczęśliwych piesków, (*tak skomli faktycznie*) Suka na przedzie — psi panowie za nią, a tą jedyną! — suczusią czarną albo beżową — o Boże, Boże!

Sajetan. Czyż nic się nie stanie na ostatek życia mego? Czyż umrę w tej komedii kankrowatej, patrząc na rozkład za żywa bonzorogów dawnych w miazdze słów rzygotliwych? Bo kankry jesteśmy wszyscy na ciele społeczności w jej przejściowej fazie od rozdrobnionej sproszkowanej wielości do prawdziwego społecznego continuum[109], w którym zlewają się pojedyncze wrzody indywiduów w jedną wielką „plaque muqueuse[110]” absolutnej doskonałości wszechogólnego organizmu. Wrzody bolą i cierpią — to jest ich zawód poniekąd — niech tam! Plaka będzie już tylko rozkosznie swędzić, aż się zagoi. Nicość.

Puczymorda. Jezusie Nazareński — ten rżnie swój wykład przedśmiertny bez żadnego miłosierdzia nad nami!

Księżna tańczy.

Sajetan. A czyż myślicie, że i my nie powstaliśmy w ten sposób. Rzadka linia monadologów[111], raczej monadystów — od hylozoistów[112] greckich, przez Giordana Bruna[113], poprzez Leibniza, Renouviera[114], Wildona Carra[115] — ci ostatni są jacyś nietędzy — trudno — a dalej przez Vilato i Kotarbińskiego[116] w jego nowej transformacji reizmu na żywo, *à*

la Diderot[117], a wcale nie *à la* przeklęty demon materializmu baron von Holbach[118], co wszystko do bilardowej teorii materii martwej chciał sprowadzić — prowadzi nas do prawdy absolutnej, w której i dialektyczny materializm, jako walka potworów, której wynikiem jest istnienie i tak dalej, i dalej…

Bełkot Sajetana trwa nieartykułowany dalej. Oznaki szalonego zniecierpliwienia wzrastają u wszystkich. Scurvy szaleje na łańcuchu. Odtąd wszystko, co się mówi, występuje na tle nieartykułowanego bełkotu Sajetana, który gada aż do odwołania. Gdzie ponad tym bełkotem słychać będzie oddzielnie jego zdanie, będzie to wyszczególnione.

Scurvy (*skomląc*). Ja nie mogę uszyć tych po trzykroć zawomitowanych astralnie buciorów. Wszystko leci mi z rąk przez to ohydne, erotyczne podniecenie. Ja nie mogę już i wiem, że nie zrobię, a z rozpaczą robię dalej, bo jednak umrzeć z tego nienasycenia byłoby ohydną gaskonadą[119] losu — bragadocie jakieś — czort wie co! O — teraz wiem, co to są buty, czym jest kobieta, życie, nauka, sztuka i socjalny problem — wszystko wiem, ale za późno. Napawajcie się moją męką, wampiry!

Zaczyna wyć — już nie skomleć — po prostu wyje dziko i żałośnie, a Sajetan gada wciąż nieartykułowanie z gestykulacją bajeczną.

II Czeladnik. (*ubierając Księżnę*). Zupełna pustka — już mnie nic nie bawi.

I Czeladnik. Ani mnie. Coś w nas trzasło i już nie wiadomo, po co żyć.

Księżna. Macie to, czegoście chcieli, co my, arystokraci, czuliśmy zawsze. Jesteście po tamtej stronie — cieszcie się.

Sajetan (*słowa wyłaniają się z ciągłego bełkotu i giną w nim na powrót*) …na szczytach zawsze tak, bracia moi, ponurzy bracia w pustce…

W głębi wyrasta nagle czerwony piedestał — może być katedra prokuratora z II aktu.

Księżna.

Na piedestał, na piedestał mnie co prędzej!
Nie mogę żyć bez piedestału!
Trzymajcie mnie, trzymajcie mnie, ach na tym piedestale.
Bo się za chwilę cała z niego sama, ach, na pysk wywalę!

Oto staję w chwale najwyższej na przełęczy dwóch światów ginących!

Scurvy. Przebaczcie mi, towarzysze w męce, bo — nie blagujcie — męczycie się wszyscy — nie mówię tego na pociechę dla siebie, tylko to

tak faktycznie jest — przebaczcie, że zawyłem tak, jak nieboskie stworzenie, hańbiąc tym rodzaj ludzki, ale doprawdy jużem nie mógł — no nie mógł jużem i szlus!

Ciska but po paru szalonych wysiłkach zginania i szycia grubego płata skóry — robi to na siedząco. Po czym zaczyna pełzać na czterech łapach w kierunku Księżnej, wyjąc coraz gorzej. Łańcuch go wstrzymuje i tu wycie Scurvy'ego staje się wprost strasznym.

Puczymorda. Wytrzymać nie można w tym płaskim burdygielu — (*do siebie*) tak, jakby były wypukłe. Moje, faszystowskie, bo faszystowskie szpryngle były lepszej marki. I to mój były minister! Taż to, panie, jest szkandał — jak mówią w Małopolsce — ten bezmiar upodlenia! Ale to tak sugestionuje jakoś, że ja bym chciał też jakoś tego...
(*Sajetan bełkocze ciągle*). O psiakrew! — A jeśli ja nie wytrzymam i też ukorzę się przed tym nieludzkim babiszonem? (po pauzie) No to ostatecznie nic strasznego — korona mi z głowy nie spadnie. Zupełny cynizm — o to, to!

Złazi z worka i balansuje na boki, odwrócony przodem do publiki.

Sajetan. ...balansuj Se, balansuj, a jak raz wpadniesz, to od tej wewnętrznej czci dla niej się nie wywiniesz...

Księżna (*woła, mówiąc po rosyjsku „nieistowym" głosem*). Oto wołam was „nieistowym", jak mówią Rosjanie polskiego słowa na to nie ma — głosem mych nad-bebechow i krużganków ducha przeszłego i zatraconego, w tych bebechach wylęgłego: ukorzcie się przed symbolem wszechmatry — czyli raczej suprapanbabojarchatu! On wybuchnie lada chwila. Bo wy, mężczyźni, możecie zgnić nagle: zamienić się w kupkę płynnej zgnilizny, jak pan Waldemar w nowelce tego nieszczęśnika Edgara Poe[120]. Wy pykniczejecie: wasi schyzoidzi wymierają — nasze schyzoidki mnożą się. O — dowód, że Sajetanowi dali po łbie, a Puczymorda będzie żarł langusty — to symbol — póki będzie ruszał usty i żołądka władał spusty. Mężczyźni babieją — kobiety *en masse*[121] mężczyźnieją. Przyjdzie czas, że może zaczniemy się dzielić jak komórki, w nieświadomości metafizycznej dziwności Bytu! Hura, hura, hura!

Czeladnicy i Puczymorda pełzną ku niej na brzuchach. Scurvy rwie się z łańcucha jak wściekły, wśród brzęku i skowytów. Sajetan wstaje i ku niej się też obraca jak Wernyhora jaki. Nagle chochoł wstaje i staje nieruchomo. Lekka konsternacja wśród pełznących: wszyscy, nie wstając, oglądają się na chochoła.

Puczymorda (*tubalnym głosem*). My, pełznący, jesteśmy z lekka skonsternowani, że chochoł wstał. Co to znaczy? Nie chodzi o

rzeczywistość — jechał ją sęk — ale co to znaczy w wymiarach wieszczych, powyspiańskich, w tym powyspiańskim gmachu myśli narodowej zaludnionym przez tłumy szalbierzy i wykładaczy pism, które nic nie znaczą i są tylko artystyczną fantazją: napięciem dynamicznym dla Czystej Formy w teatrze — czy ja mówię bez sensu?

Chochoł podchodzi do piedestału. Spada z niego strój chocholi i okazuje się, że to jest Bubek we fraku.

Bubek-Chochoł (*mizdrząc się do Księżnej*). Pani Ireno, pani się tak ślicznie śmieje — ta chodźmy na dancing — ta chwila, co nigdy nie wróci, i to urocze, bajkowe tango — ta słowo daję...

Sajetan. Jak Wernyhora jaki bede gadał jeszcze długo dość. Ale gdzie ta. Oto wstaje wszechbabio — trochę z ruska; z akcentem na ostatnią głoseczkę najmilejszą — nawet ona mi się podoba — jeśli nie zdążę skonać przed zapadnięciem nocy i kurtyny, to wiedzcie, że nim palta w waszych zachranych garderobach odebrać zdążycie, ja już żyć nie będę — to jest więcej niż pewne. Mam dziurę od siekiery we łbie i dziury od kul w brzuchu i mózgu poprzez ucho...

Bełkot jego trwa dalej.

Puczymorda. Pokonała mnie, ścierwa jej pyzdry! Nie dam rady!

Pełznie.

Sajetan (*w zachwycie do Księżnej*). Wszechbabio! Wszechbabio! Och, to w to! Ach, to w to! I tamto w tamto! A kto powie? czy ja cham? — to? jam jest władca idealny, mumia trupia, bardzo głupia. Wgramoliłem'ś w los fatalny — niech mnie inny tam odkupią — nie dbam o to, ach to w to-to — ot jest co!

(*Wali się na ziemię i pełznie ku Księżnej. Serce dalej dyszy.*)

Scurvy (*wyje dziko a nieprzytomnie, po czym milknie i w absolutnej zastygłej ciszy mówi*). Można teraz korzystać z przechadzki, bo w tej porze oni nas nie rozumieją zupełnie.

Głos straszliwy (*z hipersupramegafonopumpy*) Oni wszystko mogą!

Na Księżnę z góry spuszcza się druciana klatka, jak dla papugi — Księżna zwija skrzydła.

Scurvy (*wśród ciszy*). O — jak boli w sercu — to od papierosów — naczynia wieńcowe zniszczone — rotten bulkheads[122] — Tyś bólów

wszystkich król — Tyś to? Fizyczny ból — (*krótka pauza*) Tfu, do czorta! Pękła mi aorta!

(*Umiera i leży jak długi na wyciągniętym łańcuchu*.)

Księżna (*słychać dalekie tango*). Zawył się na śmierć z pożądania. Pękło mu serce, a pewno wszystko inne też. Teraz bierz mnie, który chce — teraz bierz! Jestem podniecona tą śmiercią jego z pożądania niesytego do mnie do niewiarygodnych granic! Tylko kobieta może...

Wchodzi dwóch Panów ubranych w angielskie garnitury. Księżna bełkoce dalej coś niezrozumiałego. Oni rozmawiają cicho, idąc od prawej ku lewej. Przekraczają obojętnie leżących pełzaków i trupa prokuratora. Za nimi krok w krok idzie Hiper-Robociarz z termosem miedzianym w ręku.

Jeden z panów: Towarzysz X. Więc słuchajcie, towarzyszu Abramowski, ja rezygnuję na razie z upaństwowienia kompletnego przemysłu rolnego, ale nie jako kompromis.

Drugi z panów: Towarzysz Abramowski. Oczywiście, prześwietlenie ideowe tego faktu będzie takie, że oni muszą to zrozumieć jako tylko i jedynie czasowe przesunięcie...

Bełkot Księżnej staje się artykułowany.

Księżna ...z matriarchatu ultrahiperkonstrukcji, jak kwiat transcendentalnego lotosu spływam między łopatki Boga...

Towarzysz X. Zakryć tę małpę, jak papugę, płachtą jaką. Niech przestanie świergolić i skrzeczeć. Do fufy z matriarchatem. (*Straszny Hiper-Robociarz biegnie i zarzuca na klatkę czerwoną płachtę, którą mu podał z walizki Fierdusieńko*.) Otóż słuchajcie, towarzyszu Abramowski, byle tylko utrzymać się na samym punkcie rozpaczy... Tyle kompromisu, ile tylko absolutnie koniecznie — rozumiecie: ko-nie-cznie — potrzeba. Może matriarchat przyjdzie z czasem, ale nie należy robić z niego hałaśliwej jakiejś gaskonady zawczasu.

Towarzysz Abramowski. Ależ oczywiście. Szkoda tylko, że my sami nie możemy być automatami. Po posiedzeniu weźmiemy tę małpę ze sobą.

Wskazuje Księżnę, której nogi widać tylko pod płachtą.

Towarzysz X. (*przeciąga się i ziewa*). Dobrze — możemy razem. Muszę mieć jakąś detantę[123] — odprężenie. Przepracowałem się ostatnio na glanc.

Nagłe jak piorun spadnięcie żelaznej kurtyny.

Głos straszliwy

Trzeba mieć duży takt.
By skończyć trzeci akt.
To nie złudzenie — to fakt.

Koniec aktu trzeciego i ostatniego

6 III 1934

Przypisy

[1] *très démodé* (fr.) — bardzo niemodny.
[2] *halsztuk* (z niem. *Hals*: szyja; *Tuch*: chusta) — rodzaj chusty ozdobnie wiązanej na szyi, element eleganckiego ubioru męskiego w XVIII i XIX w.
[3] *szamerowanie* — a. szamerunek; ozdoba ubrań, szczególnie dawnych mundurów, wykonana z pasmanterii (taśm, sznurów itp.) naszytej wymyślnie na materiale.
[4] *kaszkiet* (z fr. *casquette*) — męskie nakrycie głowy z daszkiem z przodu i zaokrąglonym denkiem.
[5] *Aldebaran* — gwiazda podwójna (składają się na nią czerwony olbrzym i karzeł); najjaśniejszy obiekt gwiazdozbioru Byka i czternasty co do jasności na niebie.
[6] *Wega* — najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiorze Lutni, piąta co do jasności gwiazda nieba.
[7] *putryfakcyjny* (fr. *putréfaction*: gnicie) — gnilny; powstały w wyniku procesów gnilnych.
[8] *epifenomen* (z gr. *epí*: na, przy; coś zewnętrznego) — fenomen wtórny, współwystępujący ze zjawiskiem głównym, ale niemający na nie wpływu.
[9] *Kretschmer, Ernst* (1888–1964) — niem. psychiatra, prof. uniwersytetu w Marburgu (od 1926) i w Tybindze (od 1946); twórca teorii konstytucjonalnej (1924). Teoria ta zakłada istnienie trzech typów fizycznych ludzi: atletycznego (osobnik muskularny), astenicznego (osobnik wątłej budowy) i pyknicznego (osobnik skłonny do otyłości), którym odpowiadają dwa typy psychiczne: osobnikom o budowie atletycznej i astenicznej odpowiada typ schizotymiczny, a osobnikom o budowie pyknicznej typ cyklotymiczny.
[10] *Zahorska, Stefania* (1889–1961) — pseudonim Pandora, historyczka i krytyczka sztuki (w tym kierunku odbyła studia w Krakowie, Budapeszcie, Berlinie i Paryżu), prozaiczka; docent Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Po wojnie w Londynie publicystka „Wiadomości" i współzałożycielka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (Polish Writers Association Ltd.).
[11] *Wolna Wszechnica Robotnicza* — nazwa od: Wolnej Wszechnicy Polskiej, prywatnej szkoły wyższej założonej w Warszawie po I wojnie światowej (właśc. przekształconej z Towarzystwa Kursów Naukowych, który powstał z Uniwersytetu Latającego), z inicjatywy której prowadzone były publiczne wykłady niedzielne (w ramach Collegium Publicum) oraz kursy dokształcające dla pracowników społeczno-oświatowych. Być może Witkacy nawiązuje też do nazwy Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (TUR), działającej w l. 1923–1948 socjalistycznej organizacji oświatowo-kulturalnej.
[12] *deflorować* (z łac. *de-* redukcja; *flos, floris*: kwiat) — dosł. zrywać kwiat;

pozbawiać dziewictwa.

[13] *dewergondować* (fr. *dévergonder*) — sprowadzać na złą drogę, doprowadzać do rozpusty, deprawować.

[14] *jus primae noctis* (łac. *ius primae noctis*: prawo pierwszej nocy) — przywilej dający panu feudalnemu prawo do spędzenia nocy poślubnej i zdeflorowania żony swego poddanego. W średniowiecznej Europie znany był na obszarach Francji i Włoch i najczęściej funkcjonował jako rodzaj podatku, ponieważ poddani wykupowali się panu z tego przywileju. Gdzieniegdzie dochodziło jednak do rodzaju transakcji pozwalającej poddanemu, w zamian za odstąpienie swej żony na noc poślubną, upolować w pańskim lesie jelenia. Stąd zapewne pochodzi zwyczaj określania zdradzanego męża mianem jelenia a. rogacza.

[15] *teozof* — wyznawca teozofii (z gr. *theos*: bóg i *sophia*: mądrość), światopoglądu łączącego w sobie różne idee wywodzące się z neoplatonizmu i buddyzmu: wiarę w bezosobowy, wieczny Absolut, kosmos będący jego emanacją, we wszechobecną świadomość (panteizm), w karmę (odpowiedzialność każdej istoty za własne czyny, których skutki oddziaływują na następne wcielenie), reinkarnację (drogę wcieleń duszy od stadiów roślinnych, poprzez zwierzęce do ludzkiego), ewolucję wszechświata, w tym również ludzi, w kierunku doskonałości i zjednoczenia z absolutem. Takie poglądy religijno-filozoficzne propagowało założone w 1875 r. w Nowym Yorku przez Helenę Bławatską Towarzystwo Teozoficzne.

[16] *soma* (z gr.) — ciało, fizyczność; por. somatyczny.

[17] *kel ekspresją grotesk* — zapis fonetyczny fr. zwrotu: *quelle expression grotesque*, tzn. cóż za dziwaczne wyrażenie.

[18] *kirasjerski* — należący do kirasjera (z fr. *cuirassé*: pancerny, opancerzony); kirasjerzy stanowili rodzaj ciężkiej jazdy szturmowej, uzbrojonej w pałasze i broń palną; ich strój składał się z osłaniającej tors zbroi (kirysu), hełmu formą nawiązującego do hełmów Greków i Rzymian, skórzanych spodni oraz butów z cholewami sięgającymi powyżej kolan.

[19] *Boy* — pseudonim literacki Tadeusza Żeleńskiego (1874–1941) pisarza, autora wierszy satyrycznych (m.in. dla kabaretu „Zielony Balonik"), krytyka literackiego i teatralnego, działacza społecznego (współpracował z Ireną Krzywicką); zasłużonego tłumacza literatury francuskiej.

[20] *degobijować* (z fr.: *degaubiller*) — wymiotować.

[21] *mazagran* — nazwa napoju przyrządzanego z kawy z dodatkiem koniaku lub rumu, podawanego na zimno, często z kostkami lodu; nazwa pochodzi od miasta Mazagran w Algierii.

[22] *padło* — padlina.

[23] *Cornelius, Hans* (1863–1947) — właśc. Johannes Wilhelm Cornelius; niem. filozof neokantysta, profesor uniwersytetu we Frankfurcie nad Menem (od 1928 r. emerytowany); do jego studentów należeli Max Horkheimer i Theodor Adorno. Witkacy korespondował z Corneliusem.

[24] *Leibniz, Gottfried Wilhelm* (1646–1716) — niem. filozof, a także matematyk (wynalazca rachunku różniczkowego i całkowego, niezależnie od Newtona), fizyk i konstruktor. Monadologia stanowi koncepcję opisującą świat jako złożony z monad, czyli osobnych bytów, z których każdy zawiera całą prawdę o sobie, stanowiąc niejako świat sam dla siebie. Człowiek postrzegany jest jako jedna z nieskończenie wielu niepowtarzalnych monad. Według Leibniza monady nie oddziałują na siebie nawzajem, są niezmienne (czas i przestrzeń stanowią rodzaj złudzenia poznawczego), a ich wzajemne relacje zostały raz na zawsze z góry ustalone na zasadzie harmonii przedustawnej przez Boga jako naczelną monadę stanowiącą dla pozostałych monad przyczynę i cel istnienia. Świat uregulowany na kształt zegara (czy też zbioru wielu mechanizmów tego typu) miał być zdaniem Leibniza najlepszym z możliwych do pomyślenia światów; z tego stwierdzenia szydził Voltaire w powiastce filozoficznej „Kandyd".

[25] *Chwistek, Leon* (1884–1944) — logik i matematyk (wykładowca uniwersytetów w Krakowie, Lwowie i Tbilisi), malarz, teoretyk sztuki, filozof; współzałożyciel i główny teoretyk krakowskiej awangardowej grupy formistów (do której należał m.in. Tytus Czyżewski, Zbigniew Pronaszko, ale też Witkacy); styl własnego dojrzałego malarstwa określał terminem strefizm. Stworzył koncepcję wielości rzeczywistości, twierdząc, że istnieje rzeczywistość rzeczy (czyli popularna, zgodna z potocznym odbiorem), fizykalna (zgodna z opisem naukowym), rzeczywistość wrażeń (czyli psychologiczna) i wyobrażeń (czyli rzeczywistość wizjonerów); porządkował według tego podziału typy malarstwa (prymitywizm, realizm, impresjonizm, futuryzm czyli tzw. nowa sztuka), a także typy ludzi w związku z ich rozmaitymi zawodami oraz typy postaci literackich. Koncepcja ta dotyczyła więc zarówno filozofii, sztuki, jak też rozumienia nauki i życia codziennego.

[26] *witz* (niem.) — dowcip, kawał, żart.

[27] *szlus* (z niem. *Schluss*) — koniec.

[28] *moweżanr* — fonetyczny zapis fr. wyrażenia *mauvais genre*: zły ton, niesmaczny, niewłaściwy sposób wysławiania się a. zachowania.

[29] *Jokaj* — właśc. Mor Jokai (1825–1904) węg. pisarz późnoromantyczny.

[30] *Szymanowski, Karol* (1882–1937) — wybitny polski kompozytor (stawiany obok Chopina), pianista, pedagog i krytyk muzyczny. W czasie, gdy Witkacy pisał „Szewców" (1931–1934), Szymanowski żył jeszcze, choć był od wielu lat chory na gruźlicę; zmarł w sanatorium w Lozannie w 1937 r. i został pochowany w Krypcie Zasłużonych na Skałce w Krakowie, zaś jego serce umieszczono w Kościele św. Krzyża w kaplicy Sióstr Sercanek, gdzie spłonęło w czasie powstania warszawskiego.

[31] *fraternité* (fr.) — braterstwo; jedno z haseł Wielkiej Rewolucji Francuskiej, występujące na jej sztandarach wraz z hasłami wolności i równości (*Liberté-Égalité-Fraternité*).

[32] *husserliści* — zwolennicy filozofii Edmunda Husserla (1859–1938), niem. matematyka i filozofa, jednego z głównych twórców fenomenologii.

[33] *leseferyzm* (z fr. *laisser-faire*) — nieingerencja, pozostawienie swobody działania; wywodzące się z terminologii liberalizmu ekonomicznego pojęcie to było następnie stosowane również w pedagogice i innych dziedzinach.

[34] *lesealizmu* (z fr. *laisser-aller*: niestaranność, niedbałość; *aller*: iść) — termin utworzony na wzór terminu leseferyzm.

[35] *Taylor, Frederick Winslow* (1856–1915) — amer. inżynier, twórca tzw. tayloryzmu, metody organizacji pracy, której celem jest maksymalna intensyfikacja produkcji dzięki efektywnemu wykorzystaniu czasu (podział procesu technologicznego na czynności proste, wyeliminowanie nawyków powodujących przestoje w pracy). Dla unormowania systemu kontroli pracy Taylor wprowadził metodę chronometrażu, czyli pomiaru czasu pracy przy pomocy sekundomierzy i postulował, by wynagrodzenie robotnika zależało od realizacji normy; przy wyśrubowaniu norm jest to system prowadzący do wyzysku robotników.

[36] *w czym dzieło* — rusycyzm: o co chodzi.

[37] *ekskrementalia* (z łac.) — wydaliny.

[38] *pour les aristos* (fr.) — dla arystokratów; skrócona forma aristos ma zapewne pochodzić od: aristocrates.

[39] *lustmord* (z niem) — morderstwo popełnione z nadmiaru pożądania.

[40] *á la Lassalle* — w stylu Lassalle'a. Antoine Charles Louis de Lassalle (1775–1809) był generałem wojsk napoleońskich, kawalerzystą; jego strój składał się z ciemnej, bogato szamerowanej złotem kurtki, której kołnierz (wysoka stójka w stylu epoki) była wykończona futrem, następnie z czerwonych szarawarów u dołu wpuszczonych w wysokie do kolan, czarne buty, zaś u góry przepasanych szeroką szarfą.

[41] *wielość rzeczywistości* — koncepcja Leona Chwistka (1884–1944), matematyka, malarza, teoretyka sztuki i filozofa. Chwistek wyszczególniał rzeczywistość rzeczy (czyli rzeczywistość popularną, zgodną z potocznym odbiorem), fizykalną (zgodną z opisem naukowym), rzeczywistość wrażeń (psychologiczną) i wyobrażeń (rzeczywistość wizjonerów); porządkował według tego podziału typy malarstwa (prymitywizm, realizm, impresjonizm, futuryzm czyli tzw. nowa sztuka), a także typy ludzi w związku z ich rozmaitymi zawodami.

[42] *als solches* (niem.) — jako takiego.

[43] *Wajld* — właśc. Wilde, Oscar (1854–1900) ang. pisarz i dramaturg, przedstawiciel estetyzmu i propagator hasła „sztuka dla sztuki"; był biseksualistą i z powodu romansu z lordem Alfredem Douglasem w 1895 r. został oskarżony o sodomię, aresztowany i skazany przez sąd na 2 lata ciężkich robót. Po wyjściu z więzienia w Reading wyemigrował do Francji, gdzie zmarł na zapalenie opon mózgowych. Na łożu śmierci przeszedł na katolicyzm.

[44] *Werlen* — właśc. Verlaine, Paul (1844–1896) poeta fr., impresjonista, zaliczany do grona poetów wyklętych; w 1872 r. w napadzie zazdrości postrzelił swego kochanka, Arthura Rimbauda, za co został aresztowany. W więzieniu w Mons nawrócił się na katolicyzm, co zmieniło charakter jego twórczości.

[45] *Mahatma* (sanskryt; *maha*: wielki, *atma*: dusza; Wielki Duch) — zwyczajowy tytuł wybitnych indyjskich przywódców duchowych; w kulturze Zachodu przyjęło się utożsamiać go z jedną postacią historyczną, mianowicie Mohandasem Karamchandem Gandhim (1869–1948), działaczem społeczno-politycznym i religijnym, który występując przeciw dyskryminacji ludności „kolorowej" w Imperium Brytyjskim, organizując akcje na rzecz praw biedoty, czy walcząc o niepodległość Indii, głosił jednocześnie zasadę niestosowania przemocy; propagowane przez niego metody biernego oporu i formy nieposłuszeństwa obywatelskiego pozwoliły uczynić z pacyfizmu narzędzie polityczne. Mahatma Gandhi sprzeciwiał się także niesprawiedliwości wynikającej z kastowego podziału społeczeństwa i działał na rzecz praw kobiet.

[46] *exit* (łac.) — wychodzi.

[47] *czerezwyczajka* — rozwinięcie ros. akronimu CzeKa: *Czriezwyczajnaja Komisja*, tzn. komisja nadzwyczajna (pełna nazwa: *Wsierossijskaja czriezwyczajnaja komissija po bor'bie s kontrriewolucyjej i sabotażom*, czyli: Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem); był to organ władzy w Związku Radzieckim powołany, by chronić bezpieczeństwo państwa, w istocie odpowiedzialny za represje polityczne i zbrodnie rządu bolszewickiego. Czerezwyczajka brutalnie zwalczała przeciwników politycznych określanych mianem „wrogów ludu", przedstawicieli ziemiaństwa i przemysłowców (osoby „obce klasowo") oraz duchowieństwo. W latach 1917–1926 na czele CzeKa stał Feliks Dzierżyński (1877–1926), odpowiedzialny za szczególnie krwawy terror.

[48] *hoch-explosiv* (niem.) — silnie wybuchowy.

[49] *towarzystwo świadomego macierzyństwa* — pierwszą w Polsce, bezpłatną poradnię świadomego macierzyństwa założyli w Warszawie Irena Krzywicka i Tadeusz Boy-Żeleński; prowadzili oni również propagujący edukację seksualną dodatek do „Wiadomości Literackich" pt. „Życie Świadome", w którym publikowały m.in. Zofia Nałkowska, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Wanda Melcer. W nawiązaniu do idei Krzywickiej i Boy'a po wojnie, w 1957 r. powstało Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa (potem przekształcone w Towarzystwo Rozwoju Rodziny) przy współudziale Michaliny Wisłockiej, Mikołaja Kozakiewicza, Zbigniewa Lwa Starowicza i Kazimierza Imielińskiego.

[50] *mon cher* (fr.) — mój drogi.

[51] *Sayetang* — zapisane „z francuska" imię Sajetana; końcową zbitkę spółgłosek -ng należałoby czytać jak polską głoskę ń.

[52] *makiawelizm* — postawa, którą cechuje przewrotność, cynizm, wyrachowanie i amoralizm; termin utworzono od nazwiska florenckiego dyplomaty, historyka, prawnika i pisarza okresu renesansu, Niccolo Machiavelli'ego (1469–1527), autora traktatu o sprawowaniu władzy i cechach skutecznego politycznie władcy (*Książę*, 1513) oraz maksymy „cel uświęca środki".

[53] *sorta* (z ang.) — rodzaj, sort.

[54] *Alfons XIII* (1886–1941) — król Hiszpanii; zwalczany zarówno przez tradycjonalistyczną prawicę, jak przez lewicę, w 1931 r., po przegranych przez monarchistów wyborach samorządowych, został zmuszony do opuszczenia kraju; resztę życia spędził na emigracji najpierw w Paryżu, a następnie we Włoszech.

[55] *Ludwik ów pradawny* — może chodzić o Ludwika XVI (1754–1793), króla Francji od 1774 r., który został „zawieszony" w pełnieniu swej funkcji przez Zgromadzenie Narodowe, uwięziony, oskarżony o zdradę stanu, a następnie skazany na śmierć i zgilotynowany podczas Rewolucji Francuskiej, w 1793 r. Może również być to wzmianka o ostatnim królu Francji, Ludwiku Filipie I (1773–1850), który panował w okresie restauracji (od 1814 r.), a rządy swe zakończył podczas Wiosny Ludów w 1848 r., kiedy to zagrożony w swym pałacu przez wzburzony lud Paryża abdykował i salwował się ucieczką do Anglii.

[56] *umszturc* (niem. *Umsturz*) — przewrót.

[57] *szpryngel* (z niem. *springen*: skakać) — skok, podskok.

[58] *wsiotaki* — rusycyzm: mimo wszystko.

[59] *à bout de mes forces vitales* (fr.) — u kresu moich sił życiowych; por. też: ê*tre* à *bout*: być wykończonym.

[60] *antydot* (z gr. *antídoton*: dany przeciw) — a. antidotum; odtrutka, lek na coś.

[61] *żuiser* (z fr. *jouisseur*) — lubieżnik.

[62] *Breiter, Emil* (1886–1943) — krytyk literacki i teatralny, prawnik; publikował felietony i recenzje w rozmaitych czasopismach, od „Robotnika" po „Skamandra" i „Wiadomości Literackie". Zajmował się historią i teorią dramatu (a także aktami prawnymi związanymi z twórczością sceniczną i dotyczącymi np. koncesji, umów, ale też cenzury i konfiskaty utworów); był tłumaczem i komentatorem pism Georgesa Sorela. Uważał, że krytyka, podobnie jak twórczość literacka i sceniczna, powinna realizować zadania edukacyjno-etyczne.

[63] *potlacz* — ceremonia znana plemionom Indian zamieszkującym płn-zach. wybrzeża Ameryki Północnej, podczas której uroczystej uczcie (w jęz. plemienia Chinook potlacz znaczy: karmić, spożywać) towarzyszyło składanie przez gospodarza darów lub niszczenie należących do niego dóbr materialnych w celu zamanifestowania lub podniesienia swojego statusu społecznego; obdarowanych obowiązywało zrewanżowanie się tym samym lub uznanie swojej niższości. Spiralę wymiany ograniczała zasada

zachowania dobrobytu wioski; pot. marnotrawstwo, uprawianie rozrzutności.

[64] *karbunkuł* (z łac. *carbunculus*) — wrzód, czyrak.

[65] *famdiumondy* — zapis spolszczonej wymowy wyrażenia fr.: *femmes du monde*: kobiety światowe, kobiety z towarzystwa.

[66] *o, ma mignonne* (fr.) — o, moja ślicznotko.

[67] *wątpia* (starop.) — trzewia, wnętrzności.

[68] *tartinki* (z ros.) — kanapki.

[69] *Huysmans, Joris-Karl* (1848–1907) — właśc. Charles-Marie-Georges Huysmans, fr. pisarz i krytyk sztuki, skandalista. W swej najsłynniejszej powieści À *rebours* (*Na wspak*, 1884) sportretował „dekadenta doskonałego", diuka des Esseintes. Powieść zyskała specyficzny rozgłos, ponieważ w 1895 r. podczas procesu przeciwko Oscarowi Wilde'owi, oskarżyciel odwołał się do niej jako przykładu literatury „sodomicznej".

[70] *eine ganz konzeptionslose Bande* (niem.) — zupełnie pozbawiona koncepcji zgraja.

[71] *akromegalia* (med.) (łac. *acromegalia*) — choroba spowodowana nadmiernym wydzielaniem hormonu wzrostu (somatotropiny) i przejawiająca się przerostem tkanek miękkich i kości różnych części ciała (dłoni, stóp, nosa, uszu, żuchwy, zewnętrznych narządów płciowych itp.).

[72] *dumping* — termin z dziedziny ekonomii; taktyka polegająca na sprzedaży swoich produktów po cenach niższych niż obowiązujące na rynku (w skrajnym przypadku niższych od kosztów produkcji); celem może być wyeliminowanie konkurencji, podbicie nowego rynku itp.

[73] *Arbeit an und für sich* (niem.) — praca sama w sobie i dla siebie; żart. aluzja do terminu z filozofii Immanuela Kanta (1724–1804): byt sam w sobie (*Sein an sich*).

[74] *furt* (gw.) — znowu, jeszcze raz, ponownie.

[75] *caput* (łac.) — głowa; w tekście chodzi raczej nie o samą głowę, ale jej pozbawienie w sposób gwałtowny (tj. dekapitację: ścięcie); por. też niem. *kaputt*: zepsuty, zniszczony, stracony oraz *kaputt gehen* zniszczyć się, zatracić się.

[76] *bumaga* (z ros.) — papier.

[77] *Di doman non c'e certezza* (wł.) — jutro nie jest pewne.

[78] *witryolej* (daw., łac. *vitriolum*) — a. witriol, stężony kwas siarkowy (jako przezroczysta ciecz o żółtawej, połyskliwej barwie i oleistej konsystencji zw. niegdyś również olejem szklanym); określenie używane także w odniesieniu do uwodnionych siarczanów różnych metali (np. miedzi, cynku, magnezu, żelaza).

[79] *kuler lokal* — zapis spolszczonej wymowy wyrażenia fr. *couleur local*: koloryt lokalny.

[80] *au commencement* (…) *était* (fr.) — na początku był; w całym zwrocie: *au commencement* Bythos *était* słowo Bythos stanowi wtrącenie i jest złożone z pol. wyrazu byt, przydechu przy t oraz gr. końcówki -os (por. gr.

ón, *óntos*: byt).

[81] *ausgerechnet* (niem.) — akurat, właśnie.

[82] *papagaj* — papuga.

[83] *Kant, Immanuel* (1724–1804) — niem. filozof, prof. logiki i metafizyki na uniwersytecie w Królewcu; twórca idealizmu transcendentalnego a. krytycznego. Kant głosił m.in., że o rzeczach samych w sobie (tzw. noumenach, takich jak np. Bóg, dusza, kosmos, materia) nie możemy nic orzekać (agnostycyzm poznawczy), poznaniu dane są jedynie ich fenomeny, czyli zjawiska zapośredniczone przez zmysły, ujęte w formy czasowe i przestrzenne oraz kategorie (przede wszystkim przyczynowe oraz substancjalne). Z tym, co niepoznawalne dla rozumu spekulatywnego radzi sobie rozum praktyczny tworzący postulaty będące prawdami apriorycznymi (nieodwołujące się do doświadczenia, mające charakter podobny prawom matematycznym). Do tego typu norm należy słynny imperatyw kategoryczny, czyli zasada etyki mówiąca, że należy postępować zawsze wedle reguł, co do których chcielibyśmy, aby stały się one prawem powszechnym (stosowanym przez każdego i zawsze) i które mają ludzkość nie za środek, lecz za cel.

[84] *epistropheus* — kręg obrotowy a. osiowy, drugi kręg szyjny stanowiący rodzaj osi, wokół której obracają się wyżej położone elementy układu kostnego (kręg pierwszy i czaszka).

[85] *yohimbina* — a. johimbina, związek chemiczny (alkaloid) uzyskiwany z kory roślin *Corynanthe yohimbe* oraz *Pausinystalis yohimbe* rosnących w tropikalnych rejonach Afryki zachodniej (Kamerun, Kongo), wykorzystywany jako afrodyzjak (zażycie johimbiny powoduje zwiększony dopływ krwi do narządów płciowych i nadwrażliwość na dotyk); tradycyjnie wyciąg kory z johimbiny był stosowany przez plemiona Pigmejów i Buszmenów podczas orgiastycznych uroczystości.

[86] *Słonimski, Antoni* (1895–1976) — polski poeta, satyryk, felietonista i krytyk teatralny. Współtworzył kabaret literacki Pikador i grupę poetycką Skamander. W międzywojniu współpracował z „Wiadomościami Literackimi". Wiele kabaretów (m.in. kabarety Czarny Kot, Qui Pro Quo, Cyrulik Warszawski) korzystało z jego tekstów satyrycznych.

[87] *Lechoń, Jan* (1899–1956) — właśc. Leszek Serafinowicz, poeta, krytyk literacki i teatralny, współtwórca grupy poetyckiej Skamander i kabaretu literackiego Pikador. Współpracował z „Wiadomościami literackimi", był redaktorem pisma satyrycznego „Cyrulik Warszawski". W latach 1930–1939 attaché kulturalny ambasady polskiej w Paryżu.

[88] *kord* (z tur. i pers. *kardas*) — jednosieczna broń biała, pierwotnie krótki miecz albo długi sztylet używany przez uboższe warstwy społeczne, od XVI w. synonimiczne określenie szabli.

[89] *asińdziej* (starop.) — skrót od zwrotu grzecznościowego: waszmość-dobrodziej.

[90] *kańczug* (z tur. *kamcze*: bicz) — skórzany pleciony bicz z rękojeścią,

narzędzie do wymierzania chłosty.

[91] *à tue-tête* (fr.) — na całe gardło.

[92] *handgranat* (z niem.) — granat ręczny.

[93] *Nietzsche, Friedrich Wilhelm* (1844–1900) — filozof i pisarz niem., z wykształcenia filolog klasyczny (profesor uniwersytetu w Bazylei). Koncepcję nadczłowieka ukształtował w odpowiedzi na diagnozę śmierci Boga (tj. powszechnego zaniku poczucia obcowania z sacrum) we współczesnej kulturze europejskiej, którą w związku z tym cechuje nihilizm, pojmowany tu jako fasadowość systemu wartości i wybór łatwego, przyjemnego acz pustego życia pozornego (egzystencji filistra bądź konsumenta kierującego się tzw. moralnością niewolnicza); za pierwszą fazę nihilizmu w kulturze europejskiej Nietzsche uważał chrześcijaństwo. Nadczłowiek miałby być tytanem w dziedzinie etyki, kierującym się uznaniem za dobre wszystkiego, co wzmaga w nim wolę mocy, czyli żywiołową siłę, której przejawem jest wszelkie życie i dążenie; nadczłowieka cechować miałoby panowanie nad sobą i wytrwałość w przezwyciężaniu przeciwieństw. Nietzsche „wymówił" obywatelstwo pruskie w 1869 r. i do końca życia pozostał „bezpaństwowcem". Zdecydowanie przeciwstawiał się fermentom nazistowskim. Mimo to niektóre jego idee zostały później zawłaszczone, spłycone i przystosowane do ideologii nazistowskiej przez A. Baeumlera i A. Rosenberga.

[94] *wsio rawno* (ros.) — wszystko jedno.

[95] *kafir* (arab.; lm: *kuffar*) — niewierny w islamie. Termin niejednoznaczny; daw. w Koranie określenie używane w odniesieniu do kogoś, kto zaprzecza prawdzie religijnej a. nie przyznaje się do niej; może oznaczać zarówno nie-sunnitę (np. szyitę), wyznawcę religii nieislamskiej, satanistę, ateistę, jak też apostatę. Niekiedy wydziela się jako pośrednich między muzułmanami a niewiernymi tzw. ludzi Księgi, do których zaliczać się mogą wyznawcy chrześcijaństwa, judaizmu i sabeizmu lub zaratusztrianizmu, ponieważ prorocy tych religii zostali uznani w islamie za wysłanników Allaha.

[96] *entymemat* (z gr. *enthymeísthai*: rozważać, uwzględniać) — wnioskowanie, w którym brak jednej przesłanki (domyślnej a. entymematycznej); skrócony sylogizm.

[97] *premisa* — tu: przesłanka.

[98] *persyflaż* (z fr. *persiflage*) — kpina, szyderstwo.

[99] *good bye* (ang.) — do widzenia.

[100] *efeb* (gr. *ephebos*) — pot. piękny młodzieniec; w staroż. Grecji młodzieniec u progu dorosłości, 18–20 letni, przechodzący obowiązkowe szkolenie wojskowe (efebię), które poprzedzało uzyskanie pełnego obywatelstwa.

[101] *pauper* (łac.) — biedak, ubogi.

[102] *weltszmerc* (z niem. *Welt*: świat; *Schmerz*: ból, cierpienie) — cierpienie egzystencjalne; ból spowodowany uświadomieniem sobie mechanizmów

funkcjonowania świata; depresja, chandra, spleen.

[103] *metempsychoza* — wędrówka dusz, reinkarnacja.

[104] *Raspiutę* — fonetyczny zapis wymowy fr. nazwiska Rasputin; Grigorij Jefimowicz Rasputin (1869–1916) od 1905 r. był faworytem rodziny cara Rosji Mikołaja II; chłop z pochodzenia, uznany za mnicha, choć nigdy nie złożył ślubów, cieszył się sławą świątobliwego mędrca, jasnowidza, proroka i uzdrowiciela (umiał podobno zatamować krwotok u chorego na hemofilię carewicza Aleksego); poprzez carycę Aleksandrę zyskał duży wpływ na politykę państwową, co doprowadziło do zawiązania spisku na jego życie. Otruty i raniony z broni palnej w pierś najpierw próbował udusić swego mordercę, księcia Jusupowa, a następnie zaczął uciekać; znów został kilkakrotnie postrzelony i powalony, roztrzaskano mu głowę pałką, związano i utopiono w Newie. Sekcja zwłok wykazała, że w momencie wrzucenia do rzeki Rasputin żył jeszcze.

[105] *katzenjammer* (niem.) — kac; złe samopoczucie po nadużyciu alkoholu.

[106] *en bataille* (fr.) — na bakier, w nieładzie.

[107] *Tuwim, Julian* (1894–1953) — polski poeta, pisarz, satyryk, tłumacz poezji ros., fr. i niem. W dwudziestoleciu międzywojennym był jedną z najpopularniejszych postaci świata literackiego; współzałożyciel kabaretu Pikador i grupy poetyckiej Skamander, blisko związany z „Wiadomościami Literackimi". W czasie, gdy powstawała sztuka Witkacego żył i miał się dobrze, znacznie też przeżył autora *Szewców*.

[108] *erognoseologiczny* (neol.) — wyraz złożony z dwóch członów, ero- od erotyki oraz gnoseologiczny, czyli odnoszący się do gnoseologii (teorii procesu poznania; synonim: epistemologia).

[109] *continuum* (łac.) — ciągłość.

[110] *plaque muqueuse* (fr.) — *plaque*: warstwa, *muqueuse*: błona śluzowa.

[111] *monadolog* — wyznawca monadologii, czyli jakiejś odmiany teorii monad wyłożonej przez G. W. Leibniza; monady wg Leibniza to indywidualne, niepodzielne składniki bytu, „punkty metafizyczne", z których każdy jest samodzielnym kosmosem, zwierającym całą prawdę o sobie i mającym zdolność przetwarzania się. Monady są uszeregowane w hierarchię od najmniej doskonałych (pozbawionych samowiedzy) do monady doskonałej, jaką jest Bóg, który cały system monad uregulował na wzór mechanizmów zegarowych. Tak harmonijnie działający świat miał być najlepszym z możliwych; przy całej mechanice i hierarchii miała w nim panować wolność.

[112] *hylozoista* (z gr. *hyle*: materia; *zoon*: życie) — a. hilozoista; termin stosowany w odniesieniu do jońskich filozofów przyrody, którzy głosili, że materia świata jest ożywiona.

[113] *Bruno, Giordano* (1548–1600) — wł. filozof, humanista, duchowny katolicki, kilkakrotnie oskarżany o herezję i ostatecznie skazany przez inkwizycję i spalony na stosie. Panteista (utożsamiał Boga z naturą),

twórca pojęcia monady jako elementarnej jednostki bytu spajającej przedmiot i podmiot. Uważał, że wszechświat jest nieskończony i podlega stałemu rozwojowi na zasadzie spirali: ciągłych powrotów przy jednoczesnym rozwoju.

[114] *Renouvier, Charles* (1815–1903) — fr. filozof, twórca neokrytycyzmu (neokantyzmu), prekursor fr. personalizmu. Swój system epistemologiczny nazwał fenomenizmem (w odróżnieniu od fenomenalizmu), ponieważ uważał, że poznaniu podlegają tylko fenomeny, za którymi nie ma żadnego prawdziwego bytu. Zadaniem filozofii wg Renouviera jest określanie kategorii myślenia, ponieważ za ich pomocą poznajemy zjawiska. Doszedłszy do wniosku, że wszystkie kategorie są w różnym stopniu subiektywne, uznał, że najpełniejsze poznanie jest oparte na wierze. Do najważniejszych dzieł Renouviera należy *Nowa monadologia* (*La nouvelle monadologie*, 1897).

[115] *Carr, Herbert Wildon* (1857–1931) — prof. filozofii na Uniwersytecie w Londynie, a następnie na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (od 1925 r.), wieloletni sekretarz Aristotelian Society. W 1921 r. wydał pracę o teorii monad; zajmował się filozofią Henri Bergsona, Benedetta Croce, Giovanniego Gentile (tłumaczył ich prace na ang.) i Gottfrieda Leibniza. Interesowały go szczególnie problemy relatywizmu poznawczego. Z odkryć nowoczesnej fizyki wyprowadzał wnioski prowadzące do idealizmu metafizycznego (*Cogitans Cogitata*, 1930). Zaprzeczał zarówno materializmowi, jak i dualizmowi; uznawał, że jedyne rzeczywiste byty, monady, nie należą do świata materialnego, będącego jedynie światem fenomenów.

[116] *Kotarbiński, Tadeusz* (1886–1981) — pol. filozof, logik i etyk, przedstawiciel szkoły lwowsko-warszawskiej; twórca reizmu (materialistycznej, a właśc. fizykalnej koncepcji filoz.); drogą analizy semantycznej pojęć filoz. wyprowadził system konkretyzmu (będącego odmianą materialistycznego monizmu). Znany jako współtwórca prakseologii, teorii sprawnego działania.

[117] *Diderot, Denis* (1713–1784) — fr. pisarz (autor powiastki filoz. *Kubuś Fatalista i jego pan*), krytyk literatury i sztuki, filozof oświeceniowy, encyklopedysta. Początkowo skłonny w duchu epoki głosić poglądy deistyczne (tj. uznawać istnienie boga, który po akcie stworzenia wszechświata nie ingeruje już więcej w losy ludzi i świata), Diderot przeszedł z czasem na pozycje materializmu, ateizmu i determinizmu; za jedyne źródło poznania uznawał doświadczenie zmysłowe poddawane następnie logicznej analizie (sensualizm).

[118] *Holbach* (1723–1789) — Paul Henry Thiry baron d'Holbach, właśc. Paul Heinrich Dietrich, urodzony w Niemczech fr. filozof oświeceniowy, encyklopedysta. W ujęciu Holbacha świat stanowi organizm podlegający bezwzględnym prawom determinizmu i jest poznawalny wyłącznie poprzez doświadczenie (z pozycji empiryzmu Holbach występował przeciw

wszelkiej religii); uznawał człowieka za istotę społeczną, kierującą się zasadami hedonizmu oraz utylitaryzmu (ograniczającego całkowitą dowolność postępowania); za istotną wartość uznawał wolność, krytykował despotyzm.

[119] *gaskonada* (z fr. *gasconnade*) — błazeństwo, przechwałki, chełpliwość.

[120] *Poe, Edgar Allan* (1809–1849) — amer. poeta i powieściopisarz, krytyk literacki; przedstawiciel romantyzmu. W swojej twórczości nie stronił od elementów fantastyki, makabry i horroru. Do dzieł tego właśnie rodzaju należy nowela *Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem*, w której tytułowy bohater zostaje zahipnotyzowany tuż przed śmiercią i trwa w tym stanie dość długo, po czym, gwałtownie wybudzony, rozsypuje się w proch, w przyspieszonym tempie przechodząc powstrzymany sztucznie przez hipnozę proces rozkładu.

[121] *en masse* (fr.) — masowo, na ogół, w większości.

[122] *rotten bulkheads* (ang) — przegniłe przegrody (a. grodzie okrętowe); może być to lekka aluzja do *Lorda* Josepha Conrada.

[123] *detantę* (z fr. *détention*: zatrzymanie, areszt) — zatrzymanie, odprężenie.